Biblioteka Instytutu Bałtyckiego w Gdyni
Uniwersytet Gdański Biblioteka
CIV 9013

Cena zł 20

Numer poświęcony sprawom niemieckim

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V | Warszawa, 4 grudzień 1949 r | Nr 48 (210)

Wielka próba

Dzisiejszy numer „Dziś i Jutro", poświęcony jest współczesnej twórczości niemieckiej. Oczywiście zebrany przez redakcję materiał — bardzo cząstkowy i w dużym stopniu przypadkowy — nie może dać naszym Czytelnikom pełnego obrazu życia kulturalnego dzisiejszych Niemiec. Usprawiedliwiając redakcję, przypomnę, że od zakończenia wojny naród polski był właściwie całkowicie odcięty od jakichkolwiek kontaktów z narodem niemieckim. Nie tylko techniczna była przyczyna tego odcięcia, choć trudności techniczne były i są nie byle jakie.

Gdy ostatni Niemcy opuścili naszą ziemię, gdy poznaliśmy pustkę i gorycz nienawiści i zemsty, zjawiła się potrzeba zapomnienia. Z dźwiękiem języka niemieckiego, z dźwiękiem samego imienia niemieckiego kojarzyły się nam rzeczy straszne, rzeczy piekielne. Jak człowiek, który z piekła powrócił na ziemię, chcieliśmy zapomnieć, że piekło istnieje. Chcieliśmy zapomnieć, że tuż obok istnieje naród niemiecki, dla nas symbol tego wszystkiego co nieludzkie. I, powiedzmy to szczerze, wielu Polakom istotnie udało się zapomnieć, że Niemcy istnieją. Nie czytano książek niemieckich, nie uczono dzieci po niemiecku. W naiwny sposób starano się oszukać historię i geografię. Nie na długo starczyło tej metody. Zawdzięczamy jej całkowitą prawie dzisiaj nieznajomość zagadnień niemieckich. A jednak, może to sprzeniewierzenie się w krótkim powojennym okresie obowiązkowi realizmu w stosunku do Niemiec w połączeniu z nowemi, silnemi przeżyciami społecznymi i czasem, który upłynął, ułatwia nam dzisiaj spokojne i sprawiedliwe spojrzenie na naród niemiecki. Przed czterema laty nikt tego od nas żądać nie mógł.

Dlaczego chcemy na przyszłość możliwie szczegółowo informować naszych Czytelników o tym wszystkim co dzieje się w Niemczech?

Na pewno nie po to, by sugerować komukolwiek potrzebę zapomnienia o strasznych zbrodniach dokonanych w naszym kraju. Nikt nigdy nie ośmieli się wysuwać takich sugestii. Po prostu dlatego, że byłyby one zdradą najprymitywniejszego obowiązku pamięci i czci dla męczeństwa i walki naszych najbliższych poległych i zamordowanych, byłyby zdradą w stosunku do międzyludzkiej moralności i wreszcie dowodem nieodpowiedzialnego i krzywdzącego stosunku do narodu niemieckiego. Takie sugestie nie zjawią się nigdy. Dlatego właśnie w chwili, gdy między Warszawą a Demokratycznymi Niemcami następuje serdeczna wymiana przedstawicielstw dyplomatycznych odbywają się równocześnie w Polsce procesy niemieckich zbrodniarzy wojennych.

Jest obowiązkiem każdego Polaka zastanowić się głęboko nad tym zagadnieniem.

Między naszymi narodami leży ponura i zła przeszłość. Nauczyła nas ona myśleć o Niemcach, przy pomocy formułek pozornie obowiązujących na zawsze. Tymczasem na pewno nie istnieją sytuacje zdeterminowane „na zawsze", na pewno nie istnieją jednostki, ani narody niepoprawne. Dzieje ludzkości kształtuje rozum i świadoma wola człowieka. Od czasu hegemonii pruskiej w Niemczech w nieszczęsnym kierunku chowany był naród niemiecki. Militaryzm, duch przemocy i agresji, tragiczna szkoła Hohenzollernów i Bismarka doprowadziła Niemców na oczach naszej generacji do największego upadku moralnego jaki zna historia. Faszyzm, nie jest zbrodnią wyłącznie niemiecką, ale tylko w Niemczech, gdzie znalazł pożywkę pruską dał tak apokaliptyczne rezultaty. Dlatego nie sądzę, że wystarczy dziś podzielić Niemców na hitlerowców i nie-hitlerowców i powiedzieć: wyłączamy hitlerowców, to zbrodniarze, z wszystkimi innymi Niemcami robimy zgodę. Sądzę, że tak powiedzieć nie wolno. Kruczkowski pokazał nam na przykładzie jednej rodziny, jak zawiły jest problem odpowiedzialności za zbrodnie. Nikt z nas nie wie, czy naszych najbliższych mordowali spokojni, przypadkowi ludzie, czy bestie hitlerowskie. Wiemy natomiast, że gdyby nie miliony potulnie idących za zbrodnią niemieckich ludzi w ogóle hitleryzm nie byłby możliwy, jak również i to, że Petersów, ludzi świadomie z hitleryzmem walczących było w Niemczech bardzo mało, byli samotni we własnym kraju.

Gdy skończyła się klęską, niemiecka próba przemocy, nasłuchiwaliśmy głosów, które świadczyły by, że Niemcy przeżywają wstrząs moralny. Katolicy polscy nasłuchiwali głosu katolików niemieckich. Wtedy, przed paroma laty, słychać było tylko samobójcze strzały tych, których szatański świat legł w gruzach. Dzisiaj nie potrzeba nasłuchiwać. Na cały świat rozlega się z Bonn tradycyjny, szowinistyczny wrzask pruski. Jest wielkim skandalem, że krzyczą najgłośniej ludzie podający się za katolików, a z nimi wielu wysokich dostojników kościelnych. Nie o nich jednak chce mówić i nie o gorszącej, będącej dla Polaków wezwaniem polityce anglosasów w Niemczech, gdy pisze o wielkiej próbie. Odbywa się ona gdzie indziej.

Gdy Związek Radziecki sprecyzował w Poczdamie swój program w stosunku do narodu niemieckiego w punktach: demilitaryzacja, denazyfikacja demokratyzacja, mało kto rozumiał, jak wiele on oznacza. Demilitaryzacja, to odebranie podstaw materialnych pod nawrót tradycji pruskich i równoczesna gwarancja bezpieczeństwa dla sąsiadów Niemiec. Denazyfikacja, to eliminacja ze społeczeństwa niemieckiego elementów zbrodniczych, to wymierzenie należnej im kary i tym samym stworzenie warunków do moralnego odrodzenia się narodu niemieckiego. Demokratyzacja, to przebudowa społeczna usuwająca władzę tych warstw, dla których tradycja pruska jest tradycją świętą, to oddanie wpływu w ręce tych ludzi, którzy stanowili jądro oporu wobec hitleryzmu — dziś wiemy już, że ludźmi tymi byli przede wszystkim przedstawiciele lewicy, głównie komuniści.

Przed miesiącem, na uroczystościach goethowskich, pisarz niemiecki Johannes Becher powiedział w Warszawie:

> Chodzi nam o to, abyśmy my, ludzie niemieccy, patrząc w przeszłość musieli pojąć w całej rozciągłości, jak straszliwe cierpienia zadaliśmy narodowi polskiemu i że gotowi jesteśmy poddać się wszelkim płynącym stąd konsekwencjom.

Otóż trzeba jak najgłośniej oświadczyć, że ten nowy piękny i ludzki ton witamy z największą radością i szacunkiem. Może nie wszyscy zdajemy sobie sprawę jak wielki zapowiada on przewrót. Chcemy pokoju i wierzymy w pokój. Pokój w Europie to w pierwszym rzędzie prawdziwy pokój między Niemcami a Polską. Zbuduje go tylko wspólny wysiłek mądrych Polaków i mądrych Niemców. Dlatego do Niemców mówiących do nas jak bracia wyciągamy rękę. Muszą wiedzieć, że chcemy ich poznać i pomagać im w ich trudnej walce o odrodzenie własnego narodu. Muszą wiedzieć, że razem z nimi chcemy podjąć wielką próbę. Ci Niemcy, doświadczeni latami walk i klęsk, na pewno wiedzą, że wyciągnięcie przez nas ręki, jeśli jest szczere, to nie przyszło nam łatwo. Na pewno wiedzą, że nie jest to gest lekkomyślności. Ręka polska jest tylko dla nich, jest dla tych Niemców, którzy wspólnie z nami chcą budować lepszy świat. Dla wszystkich innych jest jedna odpowiedź — ta z przed dziesięciu laty, lecz tym razem w innym kontekście.

Dominik Horodyński

Jacek Cichocki

OBECNA SYTUACJA LITERATURY NIEMIECKIEJ

(Szkic informacyjny)

W chwili klęski wojennej Trzeciej Rzeszy, w roku 1945, literatura niemiecka znajdowała się w stanie głębokiego kryzysu ideowego i tematycznego, oddawna trwającego rozbicia bazy terenowej na kraj i emigrację, oraz dezorganizacji wywołanej wypadkami wojennymi. Wydarzenia polityczne ostatnich kilkunastu lat zaciążyły zdecydowanie nad obliczem literatury niemieckiej i jej rolą — artystycznego kształtowania psychiki społeczeństwa i wyrażania postawy ideowej kilkudziesięciomilionowego narodu.

Wyraźny kryzys ideologiczny i formalny występował już w literaturze Niemiec przedhitlerowskich. W latach trzydziestych bieżącego stulecia przesiliły się tam bowiem ostatecznie wpływy modnych prądów literackich — symbolizmu czy ekspresjonizmu, ich miejsca nie zajął jednak żaden konkretny program i styl twórczości. Pojawiające się teorie tzw. „nowej rzeczowości" czy „realizmu magicznego", nie zostały jeszcze poparte poważniejszymi próbami twórczymi. Wybitniejsi pisarze starszego pokolenia, jak Tomasz Mann, Gerhart Hauptmann czy Stefan George kontynuowali swą twórczość w dotychczasowych formach, rozwijająca się zaś przed rokiem 1930 młodsza generacja pisarska, do której możemy zaliczyć takich twórców jak: Anna Seghers, Theodor Plivier, Erich Kaestner, Bert Brecht, Ludwik Renn, Elisabeth Langgaesser, Günther Birkenfeld, Hermann Kasack, Reinhold Schneider, Axel Eggebrecht, Günther Weisenborn, Carl Zuckmayer czy Adam Kuckhoff — stanęła rychło wobec wielkiego wstrząsu, jakim było objęcie władzy przez Hitlera w roku 1933. Ten fakt polityczny wywarł poważny wpływ na kierunki rozwojowe twórczości dziesiątków pisarzy młodszego, lecz już dojrzałego, pokolenia, którzy niewątpliwie odegrać mogli doniosłą rolę w kształtowaniu rzeczywistości literackiej Niemiec.

Już pierwsze miesiące „brunatnych" rządów w Niemczech przynoszą ofiary wśród intelektualistów i artystów niemieckich, stanowiąc zapowiedź klimatu psychicznego i warunków, w których będą żyć niezależni pisarze w Niemczech hitlerowskich.

Lewicowy poeta **Erich Mühsam** zostaje zatłuczony kijami w obozie koncentracyjnym, nieustraszony redaktor „Die Weltbühne", szlachetny humanista, **Carl Ossietzky,** pozostaje w więzieniu, a potem w obozie i symboliczne nadanie mu w 1936 r. nagrody pokojowej Nobla nie uchroni go od przedwczesnej śmierci.

10 maja 1933 r. na Placu Opery w Berlinie i na placach wielu miast uniwersyteckich Rzeszy, płoną na rozkaz Goebbelsa, wśród dzikiego wycia tłumów, tysiące tomów dzieł pisarzy postępowych i „niearyjskich", których twórczość uznano za szkodliwą. Dla niezależnych ideowo twórców nie ma miejsca w Trzeciej Rzeszy, oporni wobec nacisku i szantażu trafiają do więzień i obozów. Lojalni — podlegają reglamentacji i weryfikacji, wprzęgnięci zostają całkowicie w służbę zbrodniczego systemu, ze wszystkimi moralnymi konsekwencjami tego faktu. Nieugięci — lub zanadto obciążeni w przeszłości swą twórczością czy działalnością polityczną, wreszcie liczni „niearyjczycy", udają się legalnie lub nielegalnie na emigrację.

„250"

Dwustu pięćdziesięciu pisarzy niemieckich opuszcza kraj. Są to ludzie różnych pokoleń twórczych, wywodzący się z różnych środowisk społecznych i literackich, o bardzo zróżniczkowanym obliczu politycznym: od liberałów do socjalistów i komunistów, od pisarzy mieszczańskich umiarkowanie postępowych — do konsekwentnych antyfaszystów, którzy już w latach Republiki Weimarskiej walczyli ze wszelkimi formami szowinizmu i nacjonalizmu niemieckiego i mieli za sobą niejeden rok przebyty za kratami więzień.

Tak więc obok pisarzy doby liberalizmu — Tomasza i Henryka Mannów, Liona Feuchtwangera, czy Oskara Marii Grafa znaleźli się za granicą socjaliści i komuniści o zdecydowanej postawie ideowej, jak np. Johannes Becher, Ludwig Renn, Friedrich Wolf, Willi Bredel, Erich Weinert, czy im podobni.

Obok berlińskiego publicysty i esseisty — Alfreda Kantorowicza — opuści Niemcy robotniczy pisarz Śląska — Hans Marchwitza, obok sędziwego Arnolda Zweiga czy Alfreda Doeblina uda się na Zachód wówczas zaledwie trzydziestokilkoletnia, lecz już znana i wyróżniająca się talentem pisarka — Anna Seghers.

Najważniejsze ośrodki emigracyjne pisarzy niemieckich powstają w Austrii, Czechosłowacji, Francji (istnieją tam do wybuchu wojny), w Ameryce Łacińskiej (szczególnie w Meksyku), w Stanach Zjednoczonych, Anglii oraz w Związku Radzieckim, gdzie aż do r. 1945 przetrwała, pisząc i wydając swe utwory, poważna i dość twórcza literacko grupa pisarzy lewicy.

Koleje losu poszczególnych środowisk pisarzy przebiegały różnie pod wpływem szybko zmieniającej się w tych latach w Europie sytuacji politycznej, różnie też kształtowało się oblicze ideowe ich twórczości emigracyjnej.

We Francji emigranci niemieccy skupili się wokół wybitnego poety **Rudolfa Leonharda,** przebywającego tam już od roku 1927, a na czele zorganizowanego tam Związku Pisarzy Niemieckich („Schutzverband der deutschen Schriftsteller") staje **Alfred Kantorowicz,** który po wybuchu wojny domowej w Hiszpanii zamienia pióro na karabin, przekracza Pireneje i bierze czynny udział w walkach po stronie „czerwonych" przeciwko wojskom gen. Franco.

W XI Brygadzie Międzynarodowej walczą pod dowództwem niemieckiego komunisty. Hansa Kahle, w niemieckim batalionie im. Thaelmanna — Ludwig Renn, Willi Bredel, Erich Weinert i inni. Po zakończeniu walk w Hiszpanii niektórzy pisarze niemieccy przechodzą przez francuskie obozy internowanych, z których wydostają się dopiero w czasie wojny, inni opuszczają Francję udając się za ocean, inni jeszcze chronią się w ZSRR. Ostatecznie w Związku Radzieckim spędzą okres wojny: poeci — Johannes R. Becher i Erich Weinert, dramatopisarz — Friedrich Wolf, prozaicy — Theodor Plivier, Willi Bredel, Fritz Erpenbeck, Hans Marchwitza i inni. W Meksyku osiedli — Anna Seghers, Ludwig Renn, Alexander Abusch, Bodo Uhse i Egon Erwin Kisch; w Brazylii — Stefan Zweig; w Ameryce Północnej — obaj Mannowie, E. M. Remarque, Lion Feuchtwanger, Emil Ludwig, Stefan Heym, Maximilian Scheer, Alfred Kantorowicz, Oskar Maria Graf; w Anglii — Alfred Kerr, Alfred Doeblin; w Palestynie — Arnold Zweig.

Ciężkie lata zawiedzionych nadziei, trudy tułaczki, brak wiary w lepszą przyszłość Niemiec — doprowadzają wielu wybitniejszych pisarzy do załamania i samobójczego końca. Giną w ten sposób: dramaturg i poeta **Ernst Toller,** powieściopisarz **Stefan Zweig,** dobry prozaik i publicysta „Weltbühne" **Kurt Tucholsky,** lekarz-powieściopisarz **Ernst Weiss,** dramaturg **Walter Hasenclever,** esseista **Walter Beniamin,** podczas gdy śmiercią naturalną umierają — z bardziej znanych — autor „Pieśni o Bernadecie" — **Franz Werfel, Jakub Wassermann** i wybitny publicysta postępowy — **Helmuth von Gerlach, Rudolf Olden** i wszechstronny **Bruno Frank,** poeta, dramaturg, nowelista i powieściopisarz w jednej osobie.

Z HITLEREM...

Tymczasem pisarze, którzy pozostali w kraju, musieli zająć wyraźne stanowisko wobec rzeczywistości Trzeciej Rzeszy. Totalizm hitlerowski nie pozwalał zachować neutralności na dłuższą metę. Jak grzyby po deszczu wyrastały coraz to nowe obozy koncentracyjne i zapełniały się więzienia, buty oddziałów SA i SS deptały wszystko, co w przeszłości tego kraju było humanistyczne, niezależne i wrogie szowinizmowi. W tych warunkach nie było mowy o swobodzie

Dm 159/05

myślenia i twórczości literackiej. Swobodnie tworzyć mogli tylko chwalcy „Führera", głosiciele teorii „przestrzeni życiowej" („Lebensraumu") i „krwi i ziemi" („Blut und Boden"), notoryczni szowiniści i wypływające zewsząd miernoty moralne i literackie. Spadek po wybitnych pisarzach, którzy uszli za granicę, przejmują więc: Johst, Jünger (autor „Burzy stalowej"), Vesper, Schumann, Eckart, Blunck, Dwinger (autor książki o rzekomych zbrodniach polskich w Bydgoszczy), pieśniarz SA i Hitlerjugend — Anacker, autor powieści imperialistycznej „Naród bez przestrzeni" („Volk ohne Raum") — Hans Grimm i — niestety — bardzo wielu im podobnych.

Powiedzmy wyraźnie: większość pisarzy niemieckich, którzy pozostali w kraju, poparła Hitlera, poparła faszyzm i poparła tym samym wszystkie jego zbrodnie. Kilkuset pisarzy znalazło się w goebbelowskiej Izbie Piśmiennictwa Rzeszy („Reichsschrifttumskammer"), a osiemdziesięciu ośmiu już w roku 1933 podpisało adres hołdowniczy do Adolfa Hitlera, w którym zapewniało go o swej wierności i oddaniu. Nie zabrakło pod tą hańbiącą deklaracją nawet nazwisk znanych w Polsce — Hansa Fallady (autora „I cóż dalej szary człowieku?..." — powieści oskarżającej system kapitalistyczny) i Ludwiga Finka, dalekich w swojej przedhitlerowskiej twórczości od wpływów faszyzmu (n. b. Fallada przeżył pod koniec wojny przeobrażenie moralne i zrehabilitował się doskonałą powieścią „Każdy umiera sam za siebie" — „Jeder stirb für sich allein", wydaną w roku 1948 nakładem „Aufbau-Verlag" we wschodnich Niemczech. Treścią powieści są dzieje rodziny niemieckiego robotnika w latach hitlerowskich, zamknięte ścięciem bohatera powieści za antyfaszystowską działalność konspiracyjną).

„EMIGRACJA WEWNĘTRZNA"

Znalazła się w Niemczech grupa pisarzy, którzy pozostając w kraju usiłowali jednak izolować się od nurtu życia politycznego i przetrwać wydając niewiele lub nic, bądź też zamykając się w swojej twórczości w kręgu estetyzmu, biografistyki historycznej, liryki i tematów „nieszkodliwych". Do takich „emigrantów wewnętrznych" należały wybitne poetki — prawie 80-letnia **Ricarda Huch i Elisabeth Langgaesser**, poeta i dramaturg **Hermann Kasack**, wybitny satyryk **Erich Kaestner**, powieściopisarz i publicysta **Gerhart Pohl**, dramaturg i powieściopisarz **Rudolf Schneider - Schelde**, doskonały prozaik starszego pokolenia **Carl Friedrich Boree**, wreszcie znany poeta i powieściopisarz **Ernst Wiechert**, który zresztą lawirował nieszczęśliwie i znalazł się w więzieniu, mimo, że niektóre jego utwory nie były pozbawione akcentów profaszystowskich. Osobno wspomnieć tu trzeba wielkiego poetę i dramaturga, sędziwego **Gerharta Hauptmanna**, który już po wojnie — pozostawszy na Dolnym Śląsku — zmarł w Agnieszkowie pod Jelenią Górą. W jego postawie dopatrują się Niemcy chętnie objawów „emigracji wewnętrznej", aczkolwiek pisarz ten w niczym nie deklarował swojego negatywnego stosunku do hitleryzmu, a przeciwnie: prawdopodobnie ze względu na swoją popularność i wielkość nazwiska był przez hitleryzm całkowicie anektowany, manifestacyjnie uznawany i honorowany.

Liczne przykłady wskazują, że pojęcie „emigracji wewnętrznej" bywa po wojnie interpretowane w Niemczech, szczególnie na zachód od Łaby, w sposób dość dowolny, a często zbyt szeroki i wygodny. Znaczna część pisarzy, którzy uważają się obecnie za przedstawicieli tej grupy, a tym samym antyfaszystótw, nie wyróżniła się w przeszłości właściwie niczym, poza biernością charakterystyczną dla pewnych grup tzw. „liberalnej" inteligencji niemieckiej. Toteż, choć nie brak dziś w Niemczech Zachodnich teoretyków a nawet apologetów tego rodzaju postawy wobec faszyzmu, stwierdzić trzeba, że granica tej „emigracji wewnętrznej" jest w wielu wypadkach równie nieuchwytna i mgli sta, jak każda granica kompromisu wobec ustroju totalnego.

PISARZE W PODZIEMIU

Obok dwóch omówionych kategorii pisarzy niemieckich żyjących w Trzeciej Rzeszy istniała jeszcze jedna, bardzo zresztą nieliczna grupa, która podjęła czynną walkę z systemem faszystowskim. Są to pisarze, którzy bądź swoją działalnością w zorganizowanym podziemnym ruchu antyfaszystowskim na terenie Niemiec, bądź też nielegalną twórczością literacką zasłużyli sobie na specjalne wyodrębnienie z grona biernych i „nieszkodliwych". Do tej grupy należą przede wszystkim:

Günther Weisenborn — dramaturg, poeta i powieściopisarz, autor napisanej wspólnie z Bertem Brechtem adaptacji scenicznej „Matki" Gorkiego. W hitlerowskich Niemczech wydał pod pseudonimem dwie powieści i wystawił dwa dramaty o zamaskowanej tendencji antyfaszystowskiej. Aresztowany w roku 1942 za udział w podziemnej pracy organizacyjnej lewicy niemieckiej i skazany został na dożywotnie więzienie, z którego wyswobodziła go dopiero armia sowiecka. Po wojnie wystawił dobry dramat „Die Illegalen" („Nielegalni"), który spotkał się z dużym zainteresowaniem krytyki i publiczności.

Reinhold Schneider — poeta, esseista i biografista katolicki, autor znanych przed wojną biografii o „Las Cazas" (słynnym dominikanie hiszpańskim, który walczył w XVI w. przeciw uciskowi Indian przez konkwistadorów) i o „Filipie II". W latach hitlerowskich wydawał w Niemczech nielegalne ulotki oraz tomiki wierszy.

Axel Eggebrecht — powieściopisarz i dramaturg filmowy, współpracownik dawnej „Weltbühne" Ossietzkyego i „Literarische Welt". W roku 1933 osadzony zostaje w obozie koncentracyjnym, skąd wychodzi niezłamany po dwóch latach i nadal zachowuje nieugiętą godność. Politycznie — liberał. Po wojnie współpracownik radia hamburskiego i współredaktor wydawanego w Hamburgu czasopisma „Nordwestdeutsche Hefte".

Eugen Kogon — publicysta i krytyk pochodzenia austriackiego (uważa się jednak za Niemca), przebył 7 lat w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie. Jest autorem wydanej po wojnie bardzo znanej i poczytnej w Niemczech książki „Państwo SS. System niemieckich obozów koncentracyjnych" („Der SS-Staat — das System der deutschen Konzentrationslager"). Obecnie redaguje pismo „Frankfurter Hefte".

Jan Petersen — komunistyczny działacz niemieckiego podziemia, pisarz robotniczy, żył w Niemczech hitlerowskich na stopie nielegalnej. Poświęcił niemieckiej konspiracji lewicowej dwie ciekawe książki: „Nasza ulica" („Unsere Strasse"), prawdziwą opowieść o pewnej ulicy w dzielnicy berlińskiej Charlottenburg, która będzie niebawem wydana w polskim przekładzie, oraz „A wokół milczenie..." („Und ringsum Schweigen..."), tom krótkich opowiadań o walce podziemnej. Obie te książki napisane były w Niemczech, przesłane nielegalnie za granicę i tam wydane pod pseudonimem w języku angielskim. Po niemiecku ukazały się dopiero w 1948 r. Petersen znany jest jako delegat konspiracyjnego piśmiennictwa niemieckiego, nielegalnie przybyły na Kongres PEN-Clubu w Paryżu w roku 1935.

Albrecht Haushofer — filozof i poeta, aresztowany w lecie 1944 r., osadzony w berlińskim więzieniu Moabit i rozstrzelany dosłownie w przededniu wyzwolenia. Zostawił po sobie m. in. napisane w więzieniu piękne i głębokie „Sonety Moabickie".

Adam Kuckhoff — kronikarz niemieckiego podziemia, zamordowany w więzieniu na krótko przed wyzwoleniem, oraz zmarli pod koniec wojny w obozach mniej znani pisarze: **Johannes Wüsten i Emil Alfons Reinhardt.**

Moralnie czysta postawa i walka tych ludzi z hitleryzmem, są jednak często nadużywane — szczególnie w zachodnich Niemczech — dla fabrykowania kłamliwego mitu o jakimś niemieckim masowym ruchu oporu w Trzeciej Rzeszy. Stanowi to niebezpieczną próbę sfałszowania rzeczywistości i zmniejszenia odpowiedzialności za niesławną przeszłość i godzi w podstawy demokratycznej reedukacji społeczeństwa niemieckiego, podjętej z niemałym trudem pomiędzy Odrą a Łabą.

Na tle takiej struktury niemieckiego życia literackiego maj 1945 r. ukazał w pełni niezwykle ciężką i skomplikowaną sytuację literatury niemieckiej. Najwybitniejsi jej przedstawiciele przebywali od wielu lat na emigracji. Reprezentując najbardziej konsekwentną postawę antyhitlerowską i mając w wielu wypadkach dużo do powiedzenia swemu narodowi stracili jednak wspólny z nim język, wrośli w obce środowiska kulturalne, albo nawet stali się obywatelami obcymi (np. Tomasz Mann — amerykańskim, Alfred Kerr — angielskim, Hermann Hesse — szwajcarskim itd.). Pisarze, którzy pozostali w kraju, izolowani byli w ciągu kilkunastu lat od kontaktów z kulturą innych narodów i chociaż znajdowali wspólny język ze społeczeństwem niemieckim, fakt ten pozbawiony był rzeczywistego znaczenia, ponieważ sami byli przeważnie wrodzy nowym ideom i niezdolni do szczerej ewolucji poglądów.

Olbrzymie pole do pracy stało więc przed tymi pisarzami niemieckimi, którzy świadomi swoich celów i całkowicie ukształtowani ideowo pierwsi podjęli trud niewdzięcznych prób przekazania swemu społeczeństwu prawdy o przeszłości i nowych treści przyszłości.

Po dwunastoletnim uchodźctwie znaleźli się w Niemczech — Johannes R. Becher, Friedrich Wolf, Willi Bredel, Erich Weinert, Hans Marchwitza, Theodor Plivier, a w niewiele miesięcy po nich powrócili z Meksyku Anna Seghers i Alexander Abusch, ze Stanów Zjednoczonych — Alfred Kantorowicz i Maximilian Scheer i — kolejno — wielu jeszcze innych, w tym Brecht, Renn, Uhse, Leonhard, Arnold Zweig, Henryk Mann.

„KULTURBUND"

Lipiec 1945 r. przyniósł wydarzenie przełomowe dla odbudowy literatury niemieckiej: na świeżych ruinach Berlina grono działaczy kulturalnych z Johannesem R. Becherem na czele powołało do życia „Związek Kultury dla Demokratycznego Odrodzenia Niemiec" („Kulturbund zur demokratischen Erneuerung Deutschlands"). W skład założycieli tej organizacji weszli obok komunistów i socjalistów, jak Becher, Seghers czy Bredel ludzie umiarkowanie postępowych poglądów, jak np. uczony - slawista prof. Vasmer czy prof. Friedensburg — związani wspólnymi założeniami: wyzwolenia nowych, kulturalnie twórczych sił w społeczeństwie niemieckim, przezwyciężenie resztek faszyzmu w umysłach młodzieży i wychowania narodu niemieckiego w wielkiej tradycji humanistycznej Lessinga, Goethego i Herdera. Manifest „Kulturbundu" stwierdza zaś m. in.: „Inteligencja niemiecka, która nie wytrzymała historycznej próby, pragnie dziś zjednoczyć się dla wielkiego celu odrodzenia Niemiec i wytępienia faszyzmu".

Pierwszym i dotychczasowym przewodniczącym Rady Prezydialnej „Kulturbundu" jest Johannes R. Becher, w skład zaś Rady spośród literatów wchodzą m. in. Alexander Abusch, Bernhard Kellermann, Anna Seghers, Gerhart Pohl, Willi Bredel.

KRYTYKA PRZESZŁOŚCI NIEMIEC

„Kulturbund", popierany od początku swej działalności przez sowieckie władze okupacyjne, stał się w ciągu czterech lat czołową organizacją niemieckiego życia kulturalnego, wybiegającą znaczeniem poza tereny wschodnich Niemiec i wpłynął niewątpliwie na myślenie polityczne Niemców w sensie rewizjonistycznej oceny przeszłości i związania mas z ideologią socjalistyczną. Nie cofając się przed najtrudniejszymi i najdrażliwszymi tematami działacze „Kulturbundu" dążą do wykazania narodowi niemieckiemu, że ponosi — jako całość — współwinę za katastrofę minionej wojny i tak np. **Alexander Abusch** w swojej książce pt. **„Naród na bezdrożach. Przyczynki do zrozumienia historii Niemiec"** („Der Irrweg einer Nation - Beitrag zum Verstaendnis deutscher Geschichte") łącząc dialektyczno-materialistyczną metodę badawczą z głębokim humanizmem występuje przeciw tradycjom prusactwa, militaryzmu, thórzliwego mieszczaństwa, przeciwko kultowi Fryderyka II i Bismarcka, demaskuje romantyzm niemiecki, a wreszcie oskarża niemiecką klasę robotniczą i całą demokrację niemiecką o nieudolność i ciężkie błędy historyczne. „Naród niemiecki — powiada Abusch — musi być bezlitosny wobec siebie, musi na nowo poznać swą historię, aby zerwać z przeszłością, która jak zmora zawisła nad każdym swobodnym ruchem niemieckich pokoleń".

Jeden z najpoważniejszych publicystów wschodnich Niemiec, **Alfred Kantorowicz**, stwierdza zaś wręcz w swojej książce pod odważnym tytułem **„O moralnym zysku klęski"** („Vom moralischen Gewinn der Niederlage"): „Goethe i Beethoven zdobyli świat. Hitler mógłby go w ostatecznym wypadku tylko zniszczyć. Warto jest uprzytomnić tym, którzy chcą ż y ć odważnie (w przeciwieństwie do tych, którzy mają tylko odwagę umierania), że przy pomocy ducha osiągnąć można większe, śmielsze i trwalsze zdobycze, niż przy pomocy najpotężniejszych armii pancernych. Moralnym zyskiem z militarnej klęski jest wyzwolenie wszystkich twórczych i organizacyjnych sił naszego narodu w służbie trwałego i humanitarnego dzieła pokoju".

„Związek Kultury" dąży do wypełnienia swych zadań w oparciu o tysiące członków skupionych w setkach kół i grup nie tylko w Berlinie, ale we wszystkich miastach i miasteczkach wschodnich Niemiec: literatów, artystów i pracowników teatralnych, kompozytorów, plastyków, nauczycieli, studentów, wydawców, księgarzy, inteligencję techniczną ale również urzędników, kupców, rzemieślników, robotników, chłopów, pracownice domowe. Organizuje wystawy, przedstawienia, publiczne dyskusje i wykłady na bardzo różne tematy: artystyczne, polityczne, filozoficzne, przyrodnicze, historyczne. Dysponując równocześnie doskonale redagowanym miesięcznikiem **„Aufbau"**, który ukazuje się w nakładzie ponad 100.000 egz., oraz poważnym i ruchliwym wydawnictwem książek pod tą samą nazwą — „Kulturbund", obejmuje swoją działalnością całokształt problematyki produkcji i konsumcji dóbr kulturalnych we wschodnich Niemczech.

Anglosaskie władze okupacyjne Niemiec Zachodnich zakazały w grudniu 1947 r. działalności „Kulturbundu" na zachód od Łaby oraz w zachodniej części Berlina, gdzie zresztą organizacja pracy kulturalnej, rozwój rynku wydawniczego oraz dotychczasowe osiągnięcia literackie bezwzględnie nie dorównują stanowi rzeczy we wschodnich Niemczech. Obok zakazu działalności organizacyjnej, obowiązuje również zakaz kolportażu wydawnictw „Kulturbundu" w anglosaskich strefach Niemiec. Pisarze niemieccy z tamtych terenów zabierają często głos w dyskusjach i ankietach inicjowanych na łamach pism „Związku Kultury".

Założenie ideowe „Kulturbundu": rewizjonistyczna ocena przeszłości Niemiec, dążność do rozwoju wartości humanistycznych w wychowaniu młodzieży i chęć oparcia się o nowe siły twórcze w społeczeństwie na drodze do trwałego pokoju — stanowią logiczną konsekwencję postawy jego założycieli i organizatorów, która znajduje wszechstronne odbicie w problematyce ich długoletniej twórczości. Mimo wszelkich odrębności indywidualnej skali talentu i osobowości twórczej, wspólna postawa realizmu społecznego wiąże powieści Seghers, Renna, Bredla, Pohla czy Wolfa, dramaty Wolfa czy Brechta, publicystykę Kantorowicza czy Abuscha, poezję Bechera czy Weinerta. Nawet powierzchowny rzut oka na dorobek literacki tych pisarzy lewicy niemieckiej pozwala mieć nadzieję, że udostępniona obecnie społeczeństwu niemieckiemu ich twórczość okresu emigracyjnego oraz dalsza działalność w kraju — wywrą właściwy wpływ na doniosły proces przemian psychicznych zachodzących pomiędzy Odrą a Łabą.

PISARZE DEMOKRACJI NIEMIECKIEJ

A więc:

Anna Seghers (właściwe nazwisko: Natty Radvanyi) — najwybitniejsza pisarka współczesna o poglądach skrajnie lewicowych, już w roku 1928 wyróżniona została nagrodą literacką im. Kleista za swą pierwszą powieść epicką o tematyce społecznej pt. „Powstanie rybaków z St. Barbara". Na tle tej powieści, młodziutkiej wówczas pisarki, nakręcono film w Związku Radzieckim. W roku 1930 ogłasza tom opowiadań poświęconych problemom walki o równouprawnienie społeczne pt. „Na drodze do poselstwa amerykańskiego", w 1932 roku wydaje w Niemczech powieść o ludziach walczących z faszyzmem pt. „Towarzysze", w 1933 r. emigruje poprzez Francję do Meksyku. Na emigracji powstają jej powieści: „Nagroda od głowy" (o stosunkach na wsi niemieckiej w okresie hitlerowskim), „Droga przez luty" (o socjalistach austriackich walczących z rządem Dollfussa), „Ratunek" (powieść z życia górników niemieckich), wreszcie „Siódmy krzyż" (1942). Ta powieść o niemieckich obozach koncentracyjnych zyskała autorce uznanie w całym świecie i została sfilmowana w Stanach Zjednoczonych oraz przełożona na kilkanaście języków. W roku 1944 ukazuje się jej powieść-pamiętnik „Tranzyt", obrazująca ostatnie chwile Francji przed zajęciem jej przez wojska hitlerowskie. Najnowsza powieść Seghers „Umarli pozostają młodzi", epicki obraz społeczeństwa niemieckiego w latach 1918—1944, wydana została niedawno w przekładzie polskim.

Ludwig Renn (prawdziwe nazwisko: Arnold Friedrich Vieth von Golssenau) z pochodzenia arystokrata, z zawodu oficer — po wyjściu z wojska w 1925 r. wydaje swoją pierwszą książkę „Wojna", która uzy-

(dalszy ciąg na str. 4-tej)

Adam Weber

Krzyż został pusty...

Tak się jakoś złożyło, że akurat przed laty dziesięciu, w chłodne październikowe poranki straszliwej jesieni roku 1939 wypadało mi na podwórzu domu w którym mieszkałem stróżować przy artezyjskiej studni. Trzeba było pilnować porządku, po wodę przychodzili ludzie z innych posesji. W czasie tych dziwnych wart — czytałem po raz pierwszy powieść Arnolda Zweiga **„Spór o sierżanta Griszę"**. Powieść pisarza niemieckiego o Niemcach, z okresu końca pierwszej wojny światowej. Czytając porównywałem ludzi pokazanych mi przez autora z ludźmi, których oglądałem na ulicach naszego miasta, i w rezultacie wrażenia lektury były jednak silniejsze, aniżeli wrażenia życia (bywały wojenne okresy kiedy było inaczej!). W mym dzienniku lektury komentarz do „Sporu o sierżanta Griszę" rozpoczynał się słowami wcześniej użytymi przez Mickiewicza, a później przez Kruczkowskiego w pierwszej wersji jego najświeższej sztuki. Napisałem: „I Niemcy są ludzie".

Po dziesięciu latach od tamtej chwili — niemal po równych latach dziesięciu — siedziałem na uroczystej akademii w Teatrze Polskim w Warszawie. Czczono Goethego. Po raz pierwszy ujrzałem wśród delegacji pisarzy niemieckich Arnolda Zweiga. Oklaskiwałem go serdecznie; brawa które biłem były specjalnie skierowane pod jego adresem. I całą akademię zamiast słuchać wywodów o Goethem — myślałem o tamtej swojej reakcji na powieść wielkiego niemieckiego pisarza. Chociaż w międzyczasie przecież niemieckie palce naciskały spust karabinu maszynowego od salwy którego rozstrzelana została najbardziej niewinnie osoba mi najbliższa, chociaż niemieckie ręce podpalały me miasto, — to jednak z niemałą radością przyszło mi konstatować, — w czasie wojny, i po niej, — że wyroków ferowanych wobec określonych grup ludnościowych nigdy nie rozciągałem na cały naród. Więcej nawet. Maszyna państw faszystowskich była tak piekielną wobec własnego narodu, że często trudno się nawet dziwić, że ludzi ze strachu przed Gestapo ogarniała przeraźliwa bierność, i pragnęli oni tylko przeżyć. Wiele, bardzo wiele, demagogii jest w zarzucie jakże często stawianym, że bierność nawet „dobrych Niemców" umożliwiła Hitlerowi rządzenie. Prawda wygląda zapewne inaczej. Bierność jednych, perfidna celowość innych polityków pozahitlerowskiej grupy politycznej ułatwiła Hitlerowi zdobycie rządów. Ale potem rządził on terrorem. To nie było wyłącznie zagadnienie bierności ideologicznej, to było zagadnienie machiny gestapo, która przecież w Niemczech — wyobrazić sobie łatwo — działała ze znacznie większą wnikliwością, niż gdziekolwiek indziej, niż nawet u nas, gdzie była przeraźliwie brutalna.

Myślałem o tym podczas akademii ku czci Goethego. Lecz mimo tej próby usprawiedliwania Niemców cieszyłem się, że w Niemczech znaleźli się ludzie, których jednak strach przed własną maszyną policyjną nie sparaliżował, którzy potrafili walczyć czynnie. Część z nich zapełniła lagry, część znalazła się na emigracji. Wśród tych ostatnich była większość niemieckich pisarzy z Tomaszem Mannem na czele. Wśród nich był Arnold Zweig.

Wśród nich była również Anna Seghers, którą losy emigracji zagnały aż pod meksykańskie niebo. Pisarka należąca do średniego pokolenia twórców, mająca już za sobą pewne przedemigracyjne i przed-wojenne osiągnięcia literackie, — zdobyła światową sławę powieścią „Siódmy krzyż". Wydana w czasie wojny, tłumaczona na wszystkie zasadnicze języki świata, nakręcona na film w Hollywood, powieść ta jest próbą przekroju przez społeczeństwo niemieckie doby hitlerowskiej. Siedmiu więźniów ucieka z jakiegoś koncentracyjnego lagru. Władze lagru wystawiają siedem krzyży, na których zawisnąć mają uciekinierzy po ich złapaniu. Ucieczka może być szczęśliwą jedynie w wypadku pomocy okazywanej przez miejscową ludność niemiecką. Sytuacja podobna jak w „Niemcach" Kruczkowskiego. Sześciu więźniom szczęście nie dopisuje, trafiają na ludzi, którzy wydają ich siepaczom. Na sześciu krzyżach wiszą ofiary już to ideowej solidarności z reżimem hitlerowskim, już to lojalności wobec rządzącego aparatu państwowego, już to tchórzostwa. Siódmy krzyż pozostał jednak pustym na zawsze. Więzień nie został nigdy ujęty. Trafił na ludzi, którzy go ukryli, ułatwili przedostanie się za granicę.

Więc jednak nie całe Niemcy! Znalazł się ktoś sprawiedliwy. Jakaś zdrowa cząstka w chorym organiźmie. Oparłwszy się o nią należy uzdrawiać całość. „Siódmy krzyż" jest powieścią fabularnie pasjonującą o rozsądnie wyważonej tezie ideowej i uczciwym sądzie o własnym narodzie. Siódmy krzyż — to nie jest jednak rachunek matematyczny. To wcale nie znaczy, że każdy, co siódmy Niemiec był przeciwnikiem — i to czynnym — reżimu hitlerowskiego. Tych czynnych — było znacznie mniej. Tych biernych, tych Kruczkowskiego profesorów Sonnenbruchów, było znacznie więcej.

Oczywiście, że dla współczesnego twórcy niemieckiego — jak i dla obecnego czytelnika polskiego — sprawa udziału jego narodu w makabrze hitlerowskiej, stopień moralnej winy całego narodu, jest sprawą kapitalnej wagi. I wracać i nawracać będą oni często do tego zagadnienia. Dla Anny Seghers też rzecz się nie skończyła na „Siódmym krzyżu". Po przekroju przez społeczeństwo niemieckie w okresie Hitlera, przekroju ograniczonego wąskimi datami — Seghers pragnęła dać genealogię tego faktu, że sześć krzyży znalazło swe ofiary, lecz siódmy jednak pozostał pusty.

I chyba z takiego pragnienia powstała olbrzymia powieść „Umarli pozostają młodzi" — niedawno wydana w polskim języku. Może to i dobrze się stało, że najpierw otrzymaliśmy w przekładzie tą powieść, a dopiero później dojdzie nas — tak obiecują — „Siódmy krzyż". Właśnie dlatego, że „Umarli" są właściwie korzeniami politycznymi, społecznymi, tych postaw wobec reżimu, jakie przybiorą w „Siódmym krzyżu" osoby, do których uciekinierzy z kazetu udadzą się z prośbą o pomoc.

„Umarli pozostaną młodzi" — to zbeletryzowane dzieje Niemiec od końca pierwszej do końca drugiej wojny światowej. Intryga powieści jest właściwie niezwykle nikła i autorka konwencjom powieściowym czyni jedynie zadość wtedy, gdy na początku i na końcu powieści splata losy swych bohaterów, które pozatem, przez cały czas dwudziestu pięciu opisywanych lat mało co ze sobą mają wspólnego. Zresztą zaspokojenie konwencji powieściowej dokonane zostało przez pisarkę chyba jedynie z tego powodu, by lepiej uwypuklona została zasadnicza — marksistowska, klasowa — ideologia utworu. Wydaje się, że do powieści Anny Seghers można w pełni zastosować określenie, iż metodą pracy pisarki jest realizm socjalistyczny. Jest to literatura żywiąca zainteresowanie dla problemów społecznych i politycznych, im przypisujący szczególną i zasadniczą wagę w życiu ludzkim, a komentująca je zgodnie z doktryną marksistowską. Tak właśnie jest napisana powieść „Umarli pozostają młodzi".

Dwudziestopięcioletnie dzieje Niemiec zostały ukazane w powieści na losach kilku rodzin. Rodziny przemysłowca nadreńskiego, rodziny urzędniczej, rodziny ziemiańskiej, rodziny chłopskiej, i rodziny proletariackiej. Seghers — to wielki talent pisarki. Pozornie banalne, typowe, zgoła nieciekawe losy pięciu rodzin — potrafiła dzięki kunsztowi swej narracji uczynić lekturą wręcz pasjonującą. Dramatyzm losów politycznych Republiki Weimarskiej i Trzeciej Rzeszy potrafiła uczynić dramatyzmem losów poszczególnych rodzin. Wiarygodnie — dla czytelnika powieści — udowodniła jakie to przyczyny społeczne pchnęły w ramiona hitleryzmu całe mieszczaństwo niemieckie, niemal całe chłopstwo, nawet znaczną część proletariatu. Dla Anny Seghers jednak proletariat pozostał tą grupą społeczną, pośród której przechowało się jeszcze najsilniejsze ognisko oporu przeciw-hitlerowskiego. Gdyż tam tylko łączyło się ono z ideą przebudowy społecznej, konkretną i wyraźną. Wszędzie indziej opór ograniczał się najwyżej do moralnego wstrętu. To jednak było za mało.

W zasadzie — tak jak i w „Siódmym krzyżu" — rachunek matematyczny i w tej powieści Anny Seghers wypada nader ujemnie dla Niemców. Jakże mało jest tych, których wolno nazwać ludźmi. Lecz (i tu przemawia komunistka, której jednak pod tym względem po ostatnich doświadczeniach z politykami antyhitlerowskimi w Zachodnich Niemczech trudno odmówić racji) wśród nich grupą jedynie praktycznie i politycznie wartościową, jedyną na jakiej można budować konkretną bazę przebudowy ustrojowej i moralnej narodu niemieckiego jest właśnie grupa radykalnie lewicowa, komunistyczna.

Taka jest wymowa książki. I chyba dlatego — u Anny Seghers — siódmy krzyż pozostał pusty...

Adam Weber

ŚW. AUGUSTYN

WYZNANIA

z łacińskiego przetłumaczył, wstępem i komentarzem zaopatrzył

Ks. Dr Jan Czuj

Prof. Uniwersytetu Warszawskiego

8. k. str. 428 cena zł. 1.200.—

do nabycia

w Księgarni Krakowskiej — Kraków, ul. Św. Krzyża 13

i w innych księgarniach.

Z grafiki niemieckiej

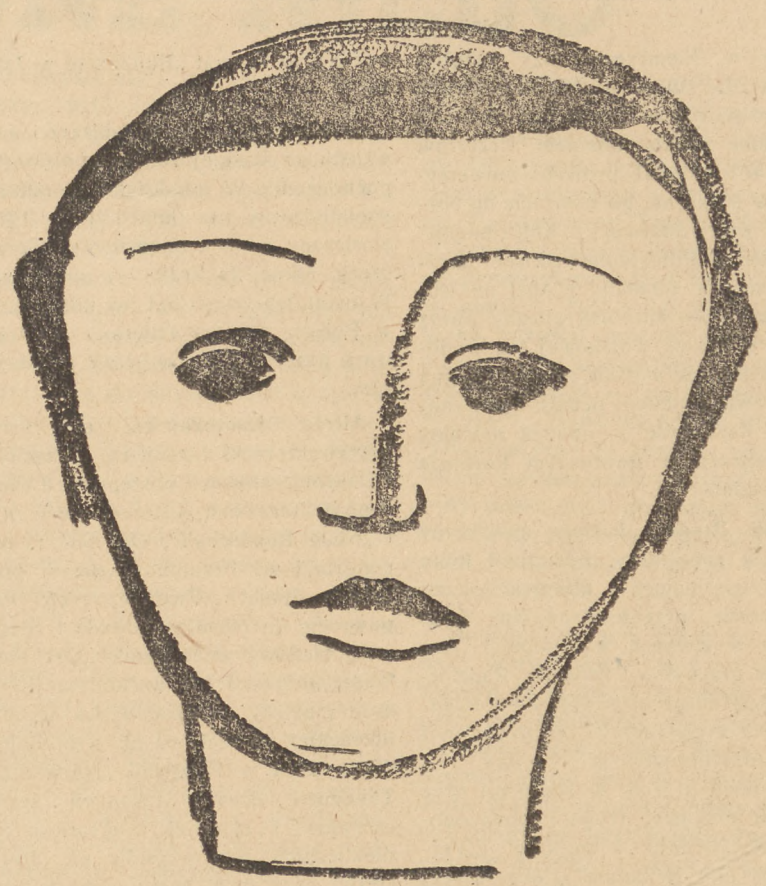

Gustaw Seitz

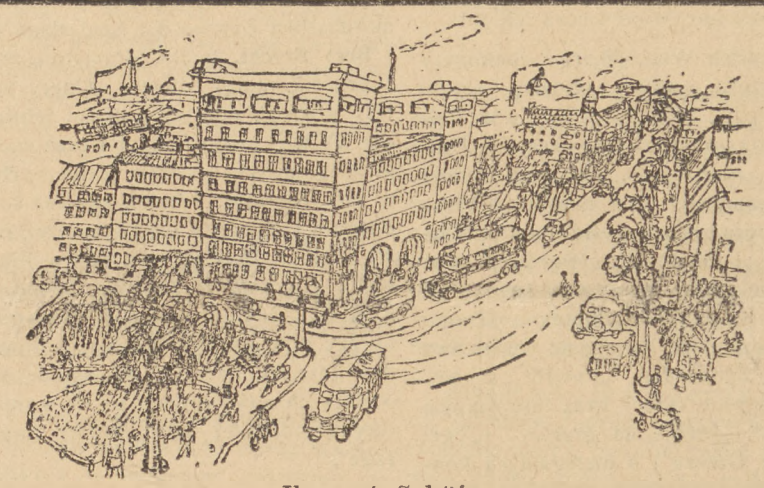

Egmont Schäfer

Hans Grundig

Georg Gresko: Po bombie atomowej

Obecna sytuacja literatury niemieckiej

(Ciąg dalszy ze strony drugiej)

skuje w Niemczech duży rozgłos, a w r. 1928 autobiograficzną opowieść „Po wojnie", w której opowiada się wyraźnie za komunizmem. Uczestnik walk w Hiszpanii, profesor uniwersytetu w Meksyku, po powrocie do Niemiec przewodniczący „Kulturbundu" w Saksonii. Powojenna powieść: „Arystokracja w upadku" („Adel im Untergang") — autobiograficzny obraz życia w szkole wojskowej i zawodowej służby w wojsku przed I Wojną Światową, wnikliwie demaskujący snobizm, kastowość i upadek moralny arystokracji w ówczesnym korpusie oficerskim.

Willi Bredel, działacz polityczny i pisarz robotniczy, odcierpiał kilka lat w więzieniach i obozach jeszcze w okresie przedhitlerowskim, brał udział w walkach w Hiszpanii, lata wojny przebył w Związku Radzieckim. Jest autorem powieści dokumentarnej z życia fabryki metalurgicznej pt. „Maschinenfabrik N. und K.", wspomnień z walk w Hiszpanii oraz bardzo ciekawej trylogii powieściowej pt. „Krewni i znajomi" („Verwandte und Bekannte"), obrazującej zdradziecką politykę przywódców socjałdemokracji niemieckiej uległej militarystom i konserwatystom na tle wydarzeń ostatnich lat wieku XIX i pierwszego ćwierćwiecza XX w.

Friedrich Wolf, lekarz i znakomity dramaturg, autor słynnej sztuki „Cjankali", znanej również i w Polsce, antyrasistowskiego dramatu „Profesor Mamlock", ciekawej sztuki „Beaumarchais czyli narodziny Figara", która ma być wystawiona w Warszawie, i kilkunastu utworów dramatycznych. Lata hitleryzmu spędza we Francji, Hiszpanii, a potem w Związku Radzieckim. Po wojnie wydał dwa tomy opowiadań „Powrót synów" i „Rosyjskie futro" oraz interesującą powieść „Dwoje na granicy" („Zwei an der Grenze") o nielegalnych kontaktach kurierskich z Rzeszą przez „zieloną granicę" w służbie konspiracji antyfaszystowskiej. Ostatnio Wolf mianowany został przedstawicielem Niemieckiej Republiki Demokratycznej przy Rządzie Polskim.

Johannes R. Becher, znakomity poeta niemiecki o zdeklarowanych poglądach komunistycznych, w młodości ekspresjonista, autor poematów „Róża Luxemburg" i „Nad grobem Lenina", oraz utworów dramatycznych. Od 1933 r. do 1945 r. na emigracji w Związku Radzieckim. Po wojnie ukazały się w Berlinie cztery tomy zbiorowego wydania jego pism, w tym nowa powieść pt. „Pożegnanie". Jest to obrachunek z przeszłością Niemiec, związany z autobiograficznymi przeżyciami Bechera, który pochodząc z konserwatywnej rodziny mieszczańskiej, ujemnie ocenia wartość tego środowiska oraz rolę, jaką odegrało ono w Niemczech w początku bieżącego stulecia. Jako przewodniczący „Kulturbundu" Becher utrzymuje po wojnie liczne międzynarodowe kontakty kulturalne.

Arnold Zweig, postępowy pisarz starszej generacji, skłaniający się wyraźnie ku marksizmowi od roku 1933. Autor znanego w Polsce cyklu powieściowego rozpoczętego „Sporem o sierżanta Griszę", od r. 1933 na emigracji w Palestynie — powrócił do Niemiec dopiero w r. 1948, bierze udział w pracach „Kulturbundu", należy do tych liberalnych pisarzy niemieckich, którzy na skutek doświadczeń ostatnich lat wypowiedzieli się w Niemczech za socjalizmem i polityką Rady Ludowej. Z ciekawszych utworów okresu wojennego zasługuje doskonała powieść z życia Hamburga w latach 1933—1939 pt. „Topór z Wandsbek" („Das Beil von Wandsbek") oraz dramat „Bonaparte w Jaffie".

Gerhart Pohl, powieściopisarz i nowelista ze śląskiej rodziny polskiego pochodzenia. W młodości dziennikarz socjalistyczny, w latach 1933—1945 zwalczany i nie drukowany w Niemczech, mimo, że kraju nie opuszczał. W ostatnich latach był już kilka razy w Polsce, ogłasza felietony o sprawach naszego kraju w prasie niemieckiej.

Alfred Kantorowicz, publicysta krytyk literacki i esseista, b. współredaktor czołowych postępowych czasopism literackich „Literarische Welt" i „Neue Rundschau". Od 1933 r. na emigracji we Francji, Hiszpanii, potem w Stanach Zjednoczonych. Po powrocie do Niemiec zakłada i redaguje ciekawy miesięcznik „Ost und West", mieszka wę wschodnim Berlinie i należy do środowiska lewicy literackiej. Wydał m. in. wspomnienia z walk w Hiszpanii „Spanisches Tagebuch", dramat „Erlangen", serię esseysów i sylwetek biograficznych niemieckich antyfaszystów pt. „Portrety" oraz dwa tomy publicystyki politycznej wydane w ciągu ostatniego roku: „Szukająca młodzież. Korespondencja z młodymi ludźmi" i „O moralnym zysku klęski" („Vom moralischen Gewinn der Niederlage").

Bert Brecht, poeta, dramatopisarz i prozaik, autor słynnej „Opery za trzy grosze", opartej o pieśni żebracze XV-wiecznego Londynu oraz wielu znakomitych utworów scenicznych, w których satyrą i kpiną zwalcza kapitalizm i zacofanie drobnomieszczaństwa. Od r. 1933 na emigracji w Finlandii a potem w Związku Radzieckim, w r. 1941 wystawia w Moskwie obrazy dramatyczne pt. „Strach i nędza Trzeciej Rzeszy", po wojnie w Niemczech nowy dramat na tle wojny trzydziestoletniej pt. „Mutter Courage".

Rudolf Leonhard, znakomity poeta niemiecki, od dwudziestu lat osiadły we Francji, pacyfista i humanista, autor antyhitlerowskich wierszy wojennych pt. „Piosenki polskie" oraz wielu doskonałych utworów dramatycznych, głęboki filozof, polityk i artysta, powrócił w roku 1948 do wschodnich Niemiec.

NIEMCY WZYWAJĄ H. MANNA

W maju 1947 r. odbyły się w Berlinie manifestacyjne zebrania zorganizowane przez „Kulturbund" oraz Związek Pisarzy Niemieckich pod hasłem „Niemcy wzywają Henryka Manna!" („Deutschland ruft Heinrich Mann"). Intelektualiści niemieccy w imieniu ludności wschodnich Niemiec prosili sędziwego pisarza o powrót z emigracji do kraju. W roku 1948 77-letni prozaik wrócił ze Stanów Zjednoczonych na stałe do Niemiec po piętnastoletniej w nich nieobecności. Twórca „Henryka IV" napisał na emigracji powieść „Lidice" oraz autografię rewizjonistyczną pt. „Obraz wieku" („Ein Zeitalter wird besichtigt"). Wielki pisarz demokratyczny jest — w przeciwieństwie do swego brata Tomasza — optymistą i wierzy w oddziaływanie na ludzi form ustrojowych i społecznych, a przede wszystkim literatury pięknej, gdyż jak mówi „książki dnia dzisiejszego przerodzą się jutro w czyn". Pisarz jest ucieleśnieniem przyszłych generacji.

ZOSTALI ZA GRANICĄ

Tomasz Mann nie ma zamiaru powrócić do Niemiec. Do dzisiejszego dnia pisarze niemieccy nie mogą przeboleć jego oświadczenia złożonego przez radio w dniu Nowego Roku 1946: „...Opuścić Amerykę, której ostatecznie ślubowałem wierność przyjmując obywatelstwo, byłoby największym i może ostatnim głupstwem mojego życia. I po co? Aby stać się sztandarem dla tych, do których wciąż jeszcze nie mam i nie mogę mieć zaufania? Długo czekałem na ten powrót. Będąc w Szwajcarii z dnia na dzień wyczekiwałem cudu. Jak by się wszystko inaczej ułożyło, gdyby Niemcy same wyzwoliły się z niewoli hitlerowskiej! Czy sądzicie, że czekałbym na drugi pociąg, gdyby między 1933 a 1939 wybuchła rewolucja? Przyjechałbym natychmiast pierwszym. 70 milionów ludzi przez tyle lat znosiło rządy łobuzów..."

W sierpniu br. Mann odwiedził ojczyznę z okazji 200-lecia urodzin Goethego, odznaczony został „Nagrodą Goethego" po obu stronach Łaby, wzbudził w adenauerowskich Niemczech wielkie zgorszenie swym wyjazdem do Weimaru i — powrócił za ocean. Ten największy z żyjących pisarzy niemieckich ma więc właściwie mały związek z życiem literackim Niemiec, jednak nawet sam fakt, że żyje i pisze, ma dla kultury niemieckiej doniosłe znaczenie, ostatnia jego obszerna książka: opowieść pt. „Doktor Faust" stanowi symboliczną historię Niemiec w ostatniej epoce ich samodzielnego bytu państwowego zarysowaną na tle biografii „Adriana Lewerkuehna, niemieckiego kompozytora". Mann ocenia swój naród surowo wprawdzie, ale z ogromną miłością. Subtelna symbolika „Doktora Fausta" sięga szczytów kunsztu literackiego.

Obok Manna pozostaje na stałe za granicą również **Oskar Maria Graf,** jeden z bardziej interesujących powieściopisarzy niemieckich, autor słynnej po I Wojnie Światowej autobiografii pt. „Jesteśmy jeńcami". Graf przebywa w Stanach Zjednoczonych, w Niemczech ukazało się jednak ostatnio kilka jego książek napisanych na emigracji, a m. in. satyryczny romans „Anton Sittinger" oraz powieść „Niepokój dokoła kogoś, kto miłuje pokój". Terenem akcji obydwu tych książek jest Bawaria w latach 1918—1933, a tematem — rozgrywki różnych środowisk społecznych i politycznych wpływające na losy bohaterów powieści.

PISARZE ZACHODNICH NIEMIEC.

Sytuacja literatury w Niemczech zachodnich stanowi odrębny problem skomplikowany dodatkowo pobytem za Łabą większości spośród tych pisarzy, którzy współpracowali czynnie z reżimem hitlerowskim. W wielu wypadkach cieszą się oni zupełną swobodą, pracują w pismach literackich, a nawet wydają nowe książki. Tamtejsze Trybunały Denazyfikacyjne uwolniły od kary b. pieśniarza SA Heinricha Anackera, zrehabilitowany został SS-Oberfuehrer Dwinger, drukują swe prace: Will Vesper — autor tomika wierszy pt. „Obraz Fuehrera", w którym zapewniał, że „Hitler został zesłany przez Boga", E. Werner, jeden z osiemdziesięciu ośmiu autorów podpisanych w r. 1933 pod adresem hołdowniczym do Hitlera, działa b. prezydent Izby Piśmiennictwa Rzeszy Hans Friedrich Blunck i inni. Mimo to w zachodnich Niemczech odczuwalny jest brak ludzi pióra i wobec tego podnoszą się głosy, że należy dopuścić do życia literackiego jeszcze większą ilość b. pisarzy hitlerowskich. (Mówi się np. o rehabilitacji autora „Burzy stalowej" — Ernsta Juengera).

Spośród nazwisk o pewnym ciężarze gatunkowym — na Zachodzie żyją i piszą (obok wymienionych powyżej w grupie pisarzy ruchu oporu-Reinholda Schneidera, Axela Eggebrechta i Eugen Kogona): Guenther Birkenfeld, Erich Kaestner, Rudolf Hagelstange, Johannes Tralow, Rudolf Schnelder - Schelde, Dolf Sternberger, Theodor Plivier.

Guenther Birkenfeld, chrześcijańsko - liberalny publicysta, powieściopisarz i poeta, przetrwał lata hitlerowskie w Niemczech, nie publikując nic. Przedwojenna jego powieść „Trzecie podwórze na lewo" — umieszczona była przez Goebelsa na indeksie. Obecnie Birkenfeld redaguje dwutygodnik dla młodzieży „Der Horizont" w amerykańskiej strefie Berlina.

Erich Kaestner, najwybitniejszy współczesny satyryk niemiecki, były współpracownik „Weltbuehne" oraz demokratycznych dzienników „Vossische Zeitung" i „Frankfurter Zeitung". Książki jego niszczone były w 1933 r. Od 1945 r. Kaestner redaguje w Monachium pismo dla młodzieży „Pinguin" ponadto wydał w ostatnich latach kilka zbiorków wierszy i dwie powieści.

Rudolf Hagelstange, 37-letni poeta należy do najlepszych liryków swego pokolenia. Pierwszy tomik poezji wydał dopiero w r. 1943, a następny — nielegalnie na krótko przed końcem wojny. Tomik jego powojennych wierszy wydany został pt. „Strom der Zeit".

Johannes Tralow, hamburski powieściopisarz i dramaturg starszego pokolenia.

Rudolf Schneider - Schelde, dramaturg i powieściopisarz. W czasach hitlerowskich nie wydawał nic, a po wojnie — wspomnienia z lat 1933 — 45 pt. „In jenen Jahren".

Dolf Sternberger, publicysta i krytyk, b. redaktor „Frankfurter Zeitung", obecnie profesor uniwersytetu w Heidelbergu, redaktor poważnego miesięcznika „Wandlung".

Theodor Plivier — komunista niemiecki, jeden z czołowych przywódców buntu marynarzy w Kilonii w 1918 r., potem autor powieści antymilitarystycznych, m. in. znanej w Polsce „Cesarz odszedł — generałowe zostali". W r. 1933 ucieka przez Czechosłowację do Związku Radzieckiego, gdzie przebywa do końca wojny. Tam pisze słynną swoją książkę „Stalingrad", która należy — jak dowodzą ankiety księgarskie — do najpoczytniejszych powojennych pozycji wydawniczych.

PIERWSZY KONGRES PISARZY NIEMIECKICH.

Pierwsze powojenne spotkanie pisarzy niemieckich ze wszystkich stref odbyło się z początkiem października 1947 r.w Berlinie i mimo początkowych prób bojkotu przez pisarzy z prawicy udało się doskonale. Do najciekawszych punktów programu należy referat Kantorowicza o emigracji niemieckiej, referat Bechera „Jak walczy pisarz dla pokoju" i przyjęta w związku z nim rezolucja, która stwierdza m. in.:

„Pamiętając nieszczęścia spowodowane w świecie przez reżim nazistowski, wyrażamy życzenie przyczynienia się do pogodzenia Wschodu z Zachodem... Jeżeli przyznajemy się do Niemiec jako do naszej nigdy nie ginącej ojczyzny, to czynimy to nie w sensie jakiegoś odnowionego wąskiego nacjonalizmu. Jesteśmy obywatelami tego świata i potępiamy wywyższanie się, przez które gorsi naszego narodu próbowali określić niemieckość jako coś wyższego... Wierzymy w nieprzemijającą jedność tych, którzy mówią językiem niemieckim, którzy pobudzeni i ukształtowani zostali przez krajobrazy Waltera von der Vogelweide i Wolframa von Eschenbach, Goethego i Hoelderlina... Doświadczenie pokazało, że kultura i godność ludzka rozwinąć się mogą jedynie w reżimie demokratycznym, gwarantującym wolność osobowości. I dlatego ślubujemy, że sumieniem naszym będą Niemcy..."

Przedmiotem poważnej troski Kongresu było zagadnienie utajonej żywotności hitleryzmu w dzisiejszej literaturze niemieckiej oraz brak wybitniejszych talentów wśród młodzieży.

W toku dyskusji nad sprawami ekonomicznymi wyszło na jaw, że stosunkowo najlepiej sytuowani są pisarze zamieszkali we wschodniej części Niemiec, gdzie istnieje zorganizowana opieka nad ludźmi pióra. Wobec bardzo niskich honorariów autorskich przyjętych w całych Niemczech pisarze pozbawieni tej pomocy znajdują się po prostu w nędzy. Te okoliczności bytowania materialnego nie mogą sprzyjać rozwojowi twórczości literackiej.

NIEMCY W MIĘDZYNARODOWYM PEN-CLUBIE.

W roku 1947 odbył się również II powojenny Międzynarodowy Kongres Penklubu, na plenum którego znalazła się sprawa powrotu do tej organizacji pisarzy niemieckich. Na Kongres przybył Tomasz Mann, który gorąco popierał sprawę amnestii dla pisarzy niemieckich. Przemawiał również delegat emigracyjnego Penklubu niemieckiego — Robert Neumann z Londynu. Ostatecznie — po burzliwej dyskusji — wyłoniono komisję z udziałem przedstawiciela Polski w celu ustalenia listy pierwszych dwudziestu pisarzy niemieckich godnych zaufania oraz sposobu i terminu powołania do życia niemieckiej sekcji Penklubu.

Na następnym Kongresie Penklubów w Kopenhadze — w czerwcu 1948 r. — przyjęto do Penklubu dwudziestu pisarzy niemieckich, z których trzech przeszło przez hitlerowskie obozy koncentracyjne, sześciu przeżyło lata hitlerowskie na emigracji, a pozostali przetrwali w Niemczech wykazując jednak nienaganną postawę. Tym samym nastąpił pierwszy organizacyjny powrót pisarzy niemieckich do międzynarodowego życa literackiego. A oto nazwiska tych najgodniejszych znane już zresztą częściowo czytelnikowi niniejszego artykułu:

Johannes R. Becher, Guenther Birkenfeld, Axel Eggebrecht, Herbert Eulenberg, Herman Kasack, Erich Kaestner, Elisabeth Langgaesser, Theodor Plivier, Ernst Pentzoldt, Ludwig Renn, Rudolf Schneider - Schelde, Reinhold Schneider, Anna Seghers, Dolf Sternberger, Johannes Tralow, Guenther Weisenborn, Paul Wiegler, Friedrich Wolf oraz A. Jahn i H. Friedman z niemieckiego Penklubu emigracyjnego.

1949.

Jest rok 1949. Z perspektywy czterech lat widać ogromną drogę, którą przeszła organizacja życia literackiego w Niemczech od stanu z maja 1945 do dnia dzisiejszego. Osiągnięcia te widoczne są szczególnie na terenie dawnej radzieckiej strefy okupacyjnej Niemiec — obec-

(dokończenie na str. 12-tej)

Zygmunt Lichniak

SPRZENIEWIERZONE NIEBO

1.

Autor „Pieśni o Bernadecie" podbił swoją dwutomową opowieścią o messabielskim cudzie szerokie masy czytelników polskich. Nic więc dziwnego, że po jego wcześniejszą książkę*) sięgamy z wielkim zainteresowaniem i... obawą jednocześnie. Interesuje nas, jak zaczęła się nowa twórczość tego pisarza, kontynuowana, literacką monografią wydarzeń w Lourdes. Obawiamy się, czy autor nie osłabi tą wcześniej pisaną rzeczą, wywołanych historią Bernadetty wrażeń, czy książka, którą otwiera się jego droga do nas nie ukaże go płytszym, czy jego „ciążenie ku katolicyzmowi" nie zdemaskuje się jako chwyt literacki, czy „Sprzeniewierzone niebo", któregośmy nie brali pod uwagę, zostawi wrażenie, że „Pieśń o Bernadecie" jest wynikiem konsekwentnej ewolucji, czy też dowiedzie, że była ona sporadycznym wyskokiem spośród mętniactwa i sztucznego patosu glorsdalii ideowej wierszy z tomu „Weltrfeude" lub dramatu „Troerinern".

Żywe wspomnienia wstępu do „Pieśni o Bernadecie" i jej głęboko katolicki ton oddalają, co prawda, obawy, ale moment niepokoju potęguje naszą emocję oczekiwania, zwłaszcza wtedy, gdy przed zabraniem się do lektury przypominamy sobie głosy prasy zagranicznej, szwajcarskiej, austriackiej, lub niemieckiej, które — co tu chować prawdę pod korcem — nie zachłystywały się entuzjazmem.

Kiedy książka Werfla ukazała się po raz pierwszy w r. 1939 (w Sztokholmie, u tego samego, co i po wojnie, wydawcy) kilka pism poświęciło jej niewiele szablonowych wzmianek recenzenckich, w których przeważnie streszczano fabułę nowej powieści i oceniano jej stronę formalną, nie angażując się w zbyt dociekliwe rozważania i osądy jej treści i myśli przewodniej. Mówiono więc o „dramatycznym napięciu" i dziwnym „stylu legendowym", który nadaje książce jakieś piętno „ponadczasowości" („Bildungsarbeit", nr 45, 1939), mówiono o „wspaniale brzmiącym języku" („Thurgauer Arbeiterzeitung", 11.XI.39), podkreślano świetne zespolenie „tragiczności z legendowością" („Jüdische Presseuzentrale", Zürich, 22.XII.39), wskazywano pewne usterki kompozycyjne („Neue Züricher Zeitung", 1940), powierzchownie tylko („Weltwoche"", 1939, grudzień) wyjaśniając istotny sens książki.

Możemy sobie tę wstrzemięźliwość ocen sprzed dziesięciu lat tłumaczyć specjalnym układem sił politycznych tamtego okresu, możemy się w ich poprawnej szablonowości dopatrywać wpływów ówczesnej cenzury, dlatego tym łapczywiej dobieramy się do omówień powojennych, które już w innych warunkach powstając, mogły skorzystać z powtórnego wydania „Sprzeniewierzonego nieba", aby — dać świadectwo prawdzie. Świadectwo to ogranicza się znów tylko do łaskawego skwitowania książki kilkoma frazesami i — kulkuzdaniowym streszczeniem fabuły.

Dziwny to obyczaj, bo — powiedzmy odrazu — książka Werfla jest zjawiskiem godnym bardzo gruntownych omówień, godnym nawet osobnego studium, a już na pewno zasługuje na możliwie szerokie jej spopularyzowanie jak najliczniejszymi przekładami.

Dla czytelnika polskiego zapoznanie się z tą książką byłoby o tyle ważniejsze, że — znając „Pieśń o Bernadecie" poznałby wstępny okres ewolucji, jakiej monografia cudu messabielskiego była wynikiem, poznałby przesłanki, które autora skłoniły do zbliżenia się ku katolicyzmowi, rozwinąłby wstecz taśmę, na której utrwalał się jeden z ciekawych i bardzo charakterystycznych dla naszej epoki procesów: proces przełomu wewnętrznego, polegającego na ciążeniu ku idei chrystianizmu.

Dlatego podejmujemy próbę omówienia „Sprzeniewierzonego nieba", nie cofając się nawet przed streszczeniem i obfitymi cytatami, byleby czytelnicy mieli okazję do ciekawych i twórczych obserwacyj czy porównań i wniosków.

2.

Już sama karta tytułowa książki Werfla określa jej ogólny sens. Tytuł („Sprzeniewierzone niebo") jest lapidarnym skrótem głównej, negatywnej tezy autora. Podtytuł („Historia pewnej służącej") wyodrębnia fabularne elementy dzieła, które stanowią próbę eksplikacji pozytywnej idei książki. Motto z Jean Paula („Dzieje się tak, jak gdyby ludzie nie mieli odwagi pomyśleć o sobie serio jako o istotach nieśmiertelnych") wskazuje dokładniej typ i kierunek rozważań autora. Oczywiście, wzajemny związek tych wstępnych informacji ocenić można dopiero ex post, po zapoznaniu się z całością.

Zacznijmy od jej części fabularnej, od „historii pewnej służącej". Spotyka ją autor w domu swoich przyjaciół Arganów. Nazywa się ona Teta Linek, jest starą, samotną panną, wykwalifikowaną kucharką, która wszędzie, gdzie służyła, zostawiała wrażenie solidnej pracownicy, chociaż nie należała do typu tzw. przyjaciółek domu, wiernych niań czy sentymentalnych „prawie członków rodziny". Miała swój odrębny, samotny świat, swoją wielką, nikomu nie znaną tajemnicę. Zbieg okoliczności (czy przeznaczenie?) styka Werfla z tymi ludźmi, którzy (jak pani Argan, czy ks. Seydel) znają niektóre elementy tajemniczej historii, a zapoznanie się z listami Tety, pozwala autorowi na zrekonstruowanie całości. Całość jest tak — według Werfla — godna uwagi, że porzuca on rozpoczętą powieść historyczną, aby opisać jak najdokładniej „historię pewnej służącej".

Oto jej streszczeniowy skrót.

Teta Linek jest bardzo religijna. Religijność to nie najgłębsza, raczej dewocyjno - zakrystyjna, ale bardzo mocna, obejmująca sobą całe życie starej panny, która marzy tylko o jednym: aby dostać się do nieba. Niebo wyobraża sobie w sposób bardzo prosty: mnóstwo pokoików ślicznie urządzonych, wspaniałe chóry anielskie, wypełniające swoim cudownym śpiewem dni szczęśliwości wieczystej. Marząc o jednym z takich pokoików, stara panna zapisuje się skwapliwie do wszelkich bractw przykościelnych, spełnia ślub czystości i... zbiera z niezwykłą chciwością pieniądze. Pewnego dnia przybywa do niej jakaś kuzynka ze swoim kilkuletnim synkiem i uskarżając się na trudne warunki życiowe prosi o pomoc w wychowaniu malca. W duszy Tety krystalizuje się największy plan jej życia; postanawia wychować malca na księdza. Nie robi tego z miłości dla chłopca, czy kuzynki. Bynajmniej. Robi to z myślą o swoim pokoiku w niebie. Wie, że trzeba zapłacić jakieś odstępne, że trzeba postarać się o jakiegoś protektora: będzie nim wychowany przez nią ksiądz. Ilość odprawionych przez niego w przyszłości mszy na jej intencję stanowić będzie chyba dostateczną gwarancję pójścia do nieba. Umacnia tę pewność i to, że przez przysporzenie jeszcze jednego sługi Bożego pomnaża Bożą chwałę, a tym samym — pokoik w niebie jest niemal pewny. Chłopiec przechodzi więc zupełnie pod opiekę Tety Linek. Ona będzie mu matkowała. Nareszcie chciwie gromadzone oszczędności znajdą swoją lokatę, tak idealnie zgodną z głównym pragnieniem starej służącej.

Chłopak wyjeżdża na koszt swej nowej opiekunki do szkoły gimnazjalnej. Odtąd Teta Linek już go nie widzi — i nie pragnie zresztą tego wcale. Wyczekuje tylko listów, w których dorastający z czasem młodzieniec donosi jej o swoich postępach w nauce i trudnościach materialnych, natychmiast usuwanych przez starą służącą dodatkowymi przesyłkami pieniężnymi. Listy są czułe, co mało Tetę wzrusza, ale — co o wiele więcej ją interesuje — zapowiadają wiele modlitw i wiele nabożeństw na jej intencję, projektowanych przez przyszłego księdza. Wreszcie — list o wyświęceniu młodego kleryka na kapłana. Teta trochę żałuje, że wychowanek nie mógł jej o tym uprzedzić i że nie mogła przybyć na tę uroczystość, ale radość spełniających się marzeń zagłusza krótkotrwały żal. Tymczasem jej księdzu nie szczególnie się wiedzie. Ludzie są źli wokół niego, intrygują, kopią dołki, opiekunka coraz częściej musi mu pomagać nadprogramowymi przekazami. Nagle — postanowił wyjechać z misją do pogańskich krajów. To kosztowało Tetę mnóstwo pieniędzy, ale wyjechał. Wkrótce wrócił — schorowany i złamany na duchu. Listy były coraz smutniejsze, przekazy „mameczki" coraz na większe opiewały sumki, aż nagle następuje szczęśliwy zwrot. Ksiądz Tety ma szanse zostania proboszczem. Tylko plebanię trzeba wyremontować. Więc „mameczka" robi co może i pieniądze wysyła.

Po tych trzydziestokilkuletnich tarapatach starzejącego się już kapłana następuje moment jego spotkania z „czcigodną opiekunką". Udało jej się — nie bez trudu — dotrzeć do niego.

Wychowanek — jak się okazuje — nie jest księdzem, lecz łajdakiem spod ciemnej gwiazdy. Mieszka w jakiejś spelunce z maltretowaną przez siebie kochanką i trudni się rozsprzedażą pornograficznych pocztówek i innych głupstewek. Zwiał chyba już jako młody chłopak z seminarium duchownego, a pieniądze „mameczki" puszczał prawdopodobnie na karty, wódkę i dziwki.

Teta — po próbach ratowania złudzeń — załamuje się. Jej „plan życia", realizowany potężnym wkładem sił i mnóstwem wyrzeczeń, plan stanowiący podstawę i cel całego jej doczesnego działania — zginął w przepaści ludzkiego zakłamania i podłości. Nie wini ludzi. Wini siebie. Widocznie ona pobłądziła.

Złamana, rozdwojona w sobie, korzystając z nieprzekazanych jeszcze wychowankowi oszczędności, udaje się z najbliższą pielgrzymką do Rzymu. Wśród uczestników pielgrzymki spotyka ks. Seydla (który autorowi później opowiadał o tym etapie życia Tety Linek i o jej, powierzonej mu w przyjacielskich wyznaniach tajemnicy). Młody kapłan staje się lekarzem złamanej duszy. Spowiedź w katakumbach uwalnia Tetę od przygniatającego ją ciężaru. Znów — tym razem już śmielej i spokojniej — marzy o niebiańskim pokoiku i chórach anielskich. Grupowa audiencja u Piusa XI, zbliżenie się i bezpośrednie zetknięcie z namiestnikiem Chrystusa wstrząsają nadwątlonym organizmem. Teta, obdarowana na łożu śmierci wspaniałym podarunkiem troszczącego się o jej zdrowie Papieża, umiera w Wiecznym Mieście szczęśliwa i spokojna. Zostawiwszy resztę swojego majątku na cele charytatywne, odchodzi do swojego wymarzonego w niebiosach pokoiku wśród asysty rozśpiewanych niebiańsko aniołów.

3.

Jaki jest sens ogólny tej „historii pewnej służącej"? Co w tym kompleksie wydarzeń i przeżyć było tak godnego uwagi, aby dla niego porzucić projekt powieści historycznej?

I sobie i mniej domyślnym czytelnikom odpowiada autor na te pytania w końcowej rozmowie z ks. Seydlem.

Całe życie Tety podporządkowane było jednej, niezmiennej idei. Wśród zmienności form doczesnego bytowania prosta kucharka uchwyciła constansy życia duchowego, znalazła stałe oparcie dla swoich poczynań, znalazła cel, który stanowił wynik umiejętnej hierarchizacji wartości, który stanowił intuicyjne a trafne podporządkowanie zjawisk przyrodzonych — zjawiskom nadprzyrodzonym. Teta miała odwagę na serio pomyśleć o sobie jako o istocie nieśmiertelnej. Problem życia pozagrobowego — centralny problem spirytualistycznej koncepcji katolickiej — nie był dla niej czymś mglistym i nieokreślonym, lecz czymś konkretnym i pewnym, czymś, co wymaga specjalnej linii postępowania przez wszystkie godziny i dni wszystkich lat w porządku doczesnym. Ta pewność, zdecydowanie, bezwzględna konsekwencja jest dla autora walorem zasadniczym, walorem pociągającym ku doktrynie, która do takiej postawy potrafi skłonić, która wśród płynności form zjawisk przyrodzonych potrafi ukazać pewność, zdecydowanie i konsekwencję spirytualistycznych założeń antologicznych.

Autora — jak i czytelników zapewne — niepokoi, a raczej dziwi prymityw przykładu, prostackość wyobrażeń Tety, przenoszącej kategorie wartościowania ziemskiego w świat innych wymiarów; nie zabrania to jednak i autorowi — i czytelnikom chyba — dostrzec, że prymityw ten jest kwestią zewnętrzną, wynika z niedoskonałości ludzkich zmysłów, z niemożności nazwania tego co nienazwane, co — chciałoby się sprawę wyjaśnić potwornym neologizmem — nienazywalne. Tak też broni Tetę ks. Seydel. „Wszystkie wyobrażenia ludzkie są prymitywne, gdyż warunkują je zmysły. Tylko za pomocą jakichś znaków możemy myśleć i mówić. Czy uważa pan — pyta autora książki — że te znaki są w „Raju" Dantego czymś prymitywniejszym niż np. w jakimś dziele psycho-analitycznym? Musimy dostrzegać dokładnie różnicę między prostotą a prymitywizmem, to są zupełnie różne wartości..." (S. 359).

Wywód ten nie tłumaczy jednak wszystkiego, zdajemy sobie sprawę, że dowodzi on raczej sympatii dla bohaterki powieści, niż jej głębi duchowej. Jedno jest pewne: stara służąca zainteresowała Werfla jako wyrazisty symbol zdrowego, bezwzględnego, i — według autora — zbawczego dla naszej epoki antyrelatywizmu. Antyrelatywistyczne tęknoty Werfla uwyraźniły się bardziej w sformułowaniu negatywnej tezy książki.

4.

Tezę tę — jak już informowaliśmy — w lapidarnym skrócie podaje główny tytuł: „Sprzeniewierzone niebo". Znaczy to: ludzie zapomnieli o Bogu, o wartościach nadrzędnych, sprzeniewierzyli się niebu. Dokładniejsze wyjaśnienie tych sformułowań podaje autor w końcowym rozdziale powieści, tłumacząc ks. Seydlowi jej genezę.

„Ksiądz wie, że stoję extra muros Exlesiae. Jednak z naszych dotychczasowych rozmów jasno wynika, że ku każdej wierze, zwłaszcza zaś ku katolickiej, skłaniam się z największą miłością i szacunkiem. To sprzeczność wewnętrzna. Owszem! Nie o tym jednak chcę dzisiaj mówić... Brzydzę się niewymownie powszechnym stanem duchowym naszego współczesnego świata, tym religijnym nihilizmem, który, odziedziczony jako spadek po dawno już przeżytej elicie, od trzech pokoleń stał się wspólną własnością mas. Niech mnie ksiądz nie uważa wszakże za jednego z tych snobów, którzy tylko dlatego chcą uchodzić za mistyków i ortodoksyjnych wyznawców doktryny, aby czymś się odróżnić od wszystkich krawców, nauczycieli i dziennikarzy, mających się za wierzących w siłę nauki ateistów. We mnie ta niechęć i wstręt do duchownego zakłamania świata żyje już od dzieciństwa niemal. Gdy byłem jeszcze młodym człowiekiem, zdarzało mi się, że — idąc ulicą miasta — muszę nagle zatrzymać pędzących tu i tam ludzi, muszę rzucić im w tępe twarze okrzyk: stańcie na chwilę! pomyślcie trochę! zastanówcie się nad tym, skąd, dokąd i poco tak gnacie! Już oddawna rozumiałem, że bunt przeciwko metafizyce jest przyczyną całej naszej nędzy." (S. 355 — 6).

A wszystko dlatego, że „dusze nasze nie chcą już wierzyć w swoją niezniszczalność, a tym samym nie poczuwają się do wiecznej odpowiedzialności za swoje losy. **Sprzeniewierzone niebo jest wielką winą naszej epoki** (podkr. ZL)". (S. 355—6).

(dokończenie na str. 9-ej)

*) Franz Werfel: Der veruntreunte Himmel; Die Geschichte einer Magd, Roman, Bermann — Fischer Verlag, Amsterdam, 1948, s. 360.

Bruno Hampel

tłum. Z. Lichniak

POMYŁKA

Pewnego gorącego dnia sierpnia 1939 roku, gdy między stolicami kilku państw europejskich pędziły na drutach telegrafu zaszyfrowane depesze, gdy prowadzono tajne rozmowy telefoniczne i wysyłano specjalnych kurierów i gońców, a kilku mądrych dyplomatów w Anglii, Szwecji i Polsce, mimo bogactwa swych wieloletnich doświadczeń, wierzyło jeszcze ciągle, że w ten sposób uda się dojść do porozumienia z Hitlerem i uratować pokój, siedemnastoletni czeladnik zegarmistrzowski, Robert S., znajdował się na polu jednego z niemieckich folwarków na Pomorzu i wykopywał buraki. Był sam z jakimś starszym parobkiem. Dwaj jego koledzy, z którymi razem został przez Arbeistdienstabteilung przydzielony do folwarku w ramach akcji żniwnej, pomagali w stodole przy młóceniu rzepaku. Każdego dnia jeden z nich musiał wyjeżdżać na pole burakowe. Była to mniej przyjemna praca, ale i ją trzeba było odrobić.

Najgorsze jest zawsze pierwsze pół godziny, a później — robota po przerwie obiadowej, sporo bowiem czasu upływa, zanim plecy przywykną do niewygodnej pozycji. Ale i poza tymi okresami cała ta harówka pozostaje dla niewprawionego robotnika piekielnie niemiłym zajęciem. A jeśli prażyło w dodatku, jak tego ranka, niemiłosiernie palące słońce, łatwo zrozumieć, że młody chłopak ucieszył się bardzo z niespodziewanej przerwy w pracy.

Wyboistą ścieżką polną, która prowadziła ze wsi na pole, nadjeżdżał z wielką szybkością motocykl. Robert zdziwiony wyprostował zgięte plecy i spojrzał na przybyłego. Poznał w nim gońca obozowego. Właśnie zwolnił bieg, przyhamował, zawrócił i, nie gasząc motoru, zsiadł. Szybko przebiegł kilka kroków wzdłuż bruzdy w kierunku Roberta, wołając już z daleka, aby przerwał pracę. — Wracaj do obozu. — A co z kopaniem? — Zostaw motykę na polu! Trzeba się spieszyć!

Jadąc na tylnym siodełku Robert krzywił się, co prawda, i wolną ręką rozcierał obolałe biodra, ale radował się już nieoczekiwanym uwolnieniem od ciężkiej harówki.

Już i innych ściągnięto do wioski. Zebrali się na dużym placu. Na drodze czekało już na nich ciężarowe auto. Obok stali z wydłużonymi minami chłopi, patrząc z niezadowoleniem, jak odbiera im się w gorącej porze żniw 60 młodych, silnych rąk.

W ciągu kilkunastogodzinnej jazdy samochodem młodzi chłopcy próbowali, o ile im na to pozwalał porywisty pęd wiatru, dzielić się swoimi poglądami i przypuszczeniami, co do tak nagłego ich odwołania. Gdy jednak przybyli do swojej rodzinnej wsi, rozmowy umilkły, a kiedy auto mijało grupki kiwających ku nim z przyjaznym uśmiechem dziewcząt, z trzydziestu piersi wyrwał się mocny śpiew.

...Wir tragen Beil und Spaten,
Statt Kugel und Gewehr.
Wir sind die Werksoldaten,
Wir sind das graue Heer...

W kilka minut później, o godzinie szesnastej, wjeżdżali przez bramę obozu. Przy wejściu do kantyny stało kilku podoficerów, palili, gadali i śmiejąc się mustrowali spojrzeniami pasażerów, wysiadających z ciężarówki.

O godzinie osiemnastej rozpoczęto naukę obchodzenia się z maską gazową nr 30.

O godzinie 19-tej ekipa robotnicza zaznajamiała się z granatami ręcznymi.

O godz. 20-tej zapoznano młodych ludzi z głównymi częściami karabinu maszynowego nr 34.

Osiem dni później stali już wszyscy w równym czworoboku wokół masztu z podciągniętą flagą i z wzniesionymi w górę palcami składali zgodnym chórem: „Przysięgam Bogu, Führerowi, i najwyższemu dowódcy, że swoje życie..." itd itd.

Pierwszy żołd: 25 marek! Psia krew, to pociąga! Dotychczas dawano dwadzieścia pięć fenigów dziennie! Kilka dni później w nocy z 3 na 4 września dawna Arbeitsdienstabteilung, teraz już Baukompanie, przekroczyła polską granicę.

Niemiecka komenda główna w ten prosty sposób stworzyła poważną siłę pomocniczą dla swych oddziałów bojowych i gdy wojska Hitlera, które przekroczyły granicę 4 dni wcześniej, wdarły się już w głąb Polski, ci młodzi ludzie w szaro-brązowych uniformach roboczych maszerowali wszędzie za nimi po szosach, znaczonych śladami gąsienic czołgowych.

Z dumą pozdrawiano się od kilku dni salutem żołnierskim, z dumą odzywano się do przełożonych, wymieniając ich rangę wojskową, z dumą słuchali tamci, gdy zamiast kierownikami grupy roboczej lub nadmajstrzymi, nazywano ich „panami sierżantami" lub „podporucznikami". Z dumą pierwsze cztery trójki każdej kompanii niosły zamiast łopat karabiny, a dawny kierownik robót polnych, pan K., obecnie kapitan, nie maszerował już jak kiedyś przed oddziałem... O nie! Jechał, co prawda, na krótkonogiej śląskiej szkapie, ale zawsze na koniu, jak na prawdziwego szefa kompanii przystało.

Stan zdrowotny oddziału był bardzo dobry i nawet dwa pierwsze dni ciężkich marszów po drogach polskich nie potrafiło go — dziwna rzecz — zepsuć. Zwykle pierwsze dni marszu powodują w niezaprawionych do tego oddziałach całą masę schorzeń stóp, tak, że wkrótce po obydwu stronach szosy, w rowach przydrożnych, widzi się pełno jęczących i zrezygnowanych wojowników, których zabiera najbliższy samochód, tzw. „łapiduch" i dowozi do miejsca przeznaczenia.

Kapitan K. uniknął takiego obrotu rzeczy, dzięki krótkiemu przemówieniu, które wobec swoich uważnie słuchających go podkomendnych wygłosił wieczorem przed przekroczeniem granicy. Przemówienie to stanowiło dowód nieprzeciętnej wnikliwości kapitana.

„Chłopcy! Wybiła chwila próby. Za niespełna dwie godziny staniemy na ziemi wroga, aby podążać za naszymi sławnymi dywizjonami bojowymi. Wchodzimy do kraju, który dyszy wrogością, do kraju, gdzie roi się od partyzantów, gdzie wszędzie czyha śmierć. Czekają nas dni wytężonych marszów — ciągnął kapitan dalej, klepiąc po karku swoją klacz — bolesne pęcherze pokryją wam stopy, dlatego teraz zwracam się do każdego z was z tym ostatnim ostrzeżeniem. Kto osłabnie i zostanie w tyle, kto okaleczy nogi i zatrzyma się w rowie przydrożnym, opuszczając kompanię, ten sam ponosi odpowiedzialność za swoje dalsze losy. Samochodów do zbierania słabeuszy nie ma. Pomyślcie o partyzantach".

To krótkie przemówienie, trafiające do przekonania słuchaczy, sprawiło cuda... Z zaciśniętymi zębami wlekli się młodzi ludzie przez obcy kraj, rozprażonymi, pełnymi kurzu drogami, pośród upalnej pogody późnego lata. Dopiero czwartego dnia miał miejsce pierwszy wypadek. Mały G. z III plutonu zemdlał, zatrzymując tym samym, jadącą z tyłu kuchnię polową. Gdy kompania, powłócząc nogami, ciągnęła dalej, kucharz ze swym pomocnikiem, zeskoczyli z kozła i — nie wiele się zastanawiając — posadzili go na tylne siedzenie wozu, gdzie Mały przechylił się na bok i znów popadł w omdlenie. Wkrótce potem od czoła kolumny podjechał ostrożnym kłusem szef kompanii. Początkowo wydawało się, że chce w zwykły sposób wyrazić swoje niezadowolenie, ale rzuciwszy krótkie spojrzenie na nieruchome ciało, zmilczał jednak i przez chwilę jechał bez słowa obok parującego kotła kuchni polowej.

Nagle po lewej stronie szosy spośród wysokiego żyta wyłoniło się stadko saren. Zwierzęta ciekawie spoglądały ku spowitej kurzem kolumnie ludzkiej. Odległość wynosiła około 300 metrów. Podniecony kapitan wyciągnął rękę po swój karabin, który był przerobiony na normalny kaliber ze zwykłej flinty myśliwskiej i zawieszony na skórzanym pasku, na przedniej ścianie wozu, czekał cierpliwie, kiedy go właściciel wykorzysta. Kucharz pochylił się do przodu, chwycił broń i zeskoczywszy z kozła, podał ją kapitanowi. Ten odbezpieczył zamek i chciał właśnie złożyć się do strzału, gdy stadko odwróciło się spokojnie i znikło wśród łanów zboża, gdzie skryłby się z głową nawet wysoki mężczyzna. Kapitan, przeklinając, oddał kucharzowi karabin i pokłusował z powrotem na czoło kolumny.

Po południu następnego dnia 8 września kompania dolazła do swego tymczasowego celu, którym była wioska, leżąca na północny wschód od Krakowa. Zakwaterowano się w miejscowej szkole. Teraz dopiero nastąpiła reakcja na kilkudniowe wyczerpanie, uzewnętrzniły się wszystkie przezwyciężane w czasie marszu bolączki. Wieczorem więcej niż połowa kompanii zebrała się przed pokojem sanitariusza, aby opatrzyć pokrwawione, spuchnięte stopy. Sanitariusz opowiadał, że i kapitan, co prawda, na innej zupełnie części ciała narobił sobie mnóstwo odparzeń i pęcherzy, tak, że trzeba było mu w jego prywatnej kwaterze nałożyć specjalny opatrunek. Ale to skąpa pociecha dla chłopców, którym pięty zdawały się płonąć żywym ogniem, a obtarte palce boleśnie krwawiły.

Po przybyciu na miejsce tymczasowego postoju okazało się wreszcie jaką funkcję powierzyła „góra" przeszkolonym na poczekaniu batalionom pomocniczym. W nocy nadjechały olbrzymie walcowniki parowe, ciężarowe samochody z narzędziami, które szybko wyładowano na dziedzińcu szkolnym. Już następnego dnia kapitan, tym razem pieszo, wyprowadził swoją kompanię na drogę.

Po otrzymaniu krótkich instrukcji zaczęli wszyscy krzątać się z łopatami i kilofami, aby przy pomocy walcowników naprawić i umocnić prymitywną i tak co prawda, ale zniszczoną doszczętnie przez pędzące kilka dni temu kolumny pancerne, drogę. Robert należał do oddziału, który miał spośród żwiru usuwać większe kamienie.

Z obydwu krańców reparowanego odcinka drogi wystawiono po dwóch wartowników, uzbrojonych w karabiny, którzy mieli wypatrywać, czy nie zbliżają się skądś partyzanci. Dwóch wartowników krążyło jednocześnie w tym samym celu wokół budynku szkolnego. Jednak do południa 10 września posterunki te zdawały się całkiem zbyteczne. Nikt nie nadchodził. Wokół było cicho i spokojnie.

10 wrzesień natomiast przyniósł gwałtowną zmianę w niezakłóconym do tej pory przez żadne wydarzenia pobycie w małej wiosce polskiej. Wieczorem tego dnia Robert zapisał w swoim pamiętniku: „Dzisiaj mamy pierwszego poległego Jest nim kucharz. Padł dla sprawy Wielkich Niemiec".

Pisząc te słowa siedział w pełnym dymu papierosowego pokoju strażników i czekał na swoją zmianę. Za oknami rozsnuwał się wieczorny mrok, nad wioską powoli rozciągała się noc. Odłożył ołówek na drewniany blat stołu i jeszcze raz przebiegł wspomnieniem wydarzenia tego krwawego popołudnia.

Kompania wróciła z pracy na obiad i stała przed szkołą. Pośród wesołego brzękania łyżkami, śmiechu i opowiadań zabrzmiał nagle od dziedzińca z drugiej strony budynku strzał. Niektórzy przypuszczali, że to złudzenie, reszta nie zwróciła nawet na to uwagi, aż nagle wytrysnął z poza domu gwałtowny krzyk. Dwóch ludzi w białych fartuchach z pobladłymi z przerażenia twarzami, z których jedna była opryskana krwią, wbiega w popłochu przed budynek i ryczy: „Partyzanci' Partyzanci!"

W jednej chwili wybucha olbrzymia panika. Ktoś wrzeszczy: „Do broni!" i wszystko rzuca się w nieopisanym pośpiechu do wnętrza budynku. Obsadzono okna od strony dziedzińca. Porucznik — majster F. — kryje się w jednej z klas za katedrą i trzymając w drżącej ręce gotowy do strzału pistolet, jąka bez przerwy: „O psy, tchórzliwe psy!"

Robert stoi przy oknie i wygląda ostrożnie na podwórze: ani żywej duszy. Na prawo pod czerwonym kamiennym murem, obok zamkniętego, parującego kotła leży twarzą w piasku kucharz. Jest w białym fartuchu, lewe kolano podciągnął trochę ku sobie, ciało jego, z wyjątkiem słabych kurczowych poruszeń lewej dłoni, tkwi nieruchomo, głowa spoczywa w małej ciemno-połyskującej kałuży krwi.

Trochę na uboczu stoją spokojnie i obojętnie cztery konie kompanijne i prawie mechanicznymi uderzeniami ogonów po bokach opędzają natrętne muchy. Tylko jeden koń z zaprzęgu kuchennego, średnia, kasztanowata klacz z białą plamką na czole, odwraca kark ze zdziwieniem, oglądając niezwykłą sytuację, w jakiej znalazł się jej przyjaciel-kucharz.

Teraz idzie ktoś poprzez dziedziniec wprost ku kuchni polowej, tak jakby się nic nie zdarzyło. „Kryj się!? — słychać ryk z okien budynku, ale on nie zważa na okrzyki. Robert go poznaje. Jest to długi B., z I plutonu, zwany „Glistą", szczególny „przyjaciel" kapitana. Przy każdym apelu spotykała go ruga, chodził zawsze w nieoczyszczonych butach, nie umiał porządnie salutować, łopaty nawet nie trzymał w ręku jak należy, osiemnaście dni spędził w areszcie i kapitan często pełen lekceważenia prorokował, że nikt nigdy z niego nie zrobi żołnierza. Pochodził z Westfalii, z tej samej wioski, co kucharz. Znał go już od dawna i teraz idzie prosto ku niemu. Kucharz leży już zupełnie spokojny, ustały nawet kurczowe ruchy dłoni. Samotny mężczyzna odwraca go na plecy i patrzy przez dłuższy czas w twarz. Potem bierze go na ręce, prostuje się i niesie trupa, jak śpiące dziecko, poprzez dziedziniec do budynku.

Dalsze wypadki potoczyły się w przyśpieszonym tempie. Kapitan, jak oszalały biegał po sieni, w kącie której spoczywały na płótnie namiotowym zwłoki kucharza i wykrzykiwał rozkazy. Trzy oddziały po 10 ludzi i 3 karabiny każdy rozesłane zostały w trzech różnych kierunkach, podwojono straż wokół budynku, a sam kapitan w asyście dwóch sierżantów i pięciu żołnierzy pośpieszył gdzieś w jakimś specjalnym celu.

W godzinę później powróciły wszystkie trzy oddziały jeden po drugim, nie mogąc zameldować niczego, co by budziło podejrzenie. Jako ostatni przybył kapitan, a za nim dziwna grupa ludzi, pilnie eskortowana przez obydwu sierżantów i 5 pozostałych żołnierzy. Na czele tej grupy szedł miejscowy ksiądz katolicki, za nim aptekarz, burmistrz, właściciel wiejskiej gospody i sześciu innych mężczyzn, wszyscy z podniesionymi do góry rękami, bladzi ze strachu. W pewnym odstępie za nimi biegła grupa rozpaczających kobiet, które napróżno usiłowali odpędzić sierżanci jak i kapitan. Prowadzono jeńców na dziedziniec. Z podniesionymi rękami musieli stanąć pod murem, zwróceni ku niemu twarzami. Kapitan brał każdego z nich na przesłuchanie, rycząc po kolei: „Gdzie partyzanci?! Gdzie partyzanci, ty psie?!"

W potoku zdań próbował każdy z nich okazać swoją niewinność i wytłumaczyć, że nie potrafił odpowiedzieć na zadawane mu pytania. Jedynie ksiądz stał blady, milczący i kręcił tylko dumnie i przecząco głową. Gdy czterech żołnierzy na rozkaz rozjuszonego kapitana przyniosło zwłoki i położyło przed jeńcami, ksiądz podszedł kilka kroków bliżej i nad roztrzaskaną krwawo twarzą nakreślił znak krzyża. Kapitan odpędził go pod mur wściekłymi uderzeniami kolby pistoletu. Za prętami zamkniętej bramy stały, rozpaczając, kobiety.

Powoli wszystko się uspakajało. Przesłuchanie nie dało żadnych wyników, jeńcy zostali zamknięci w piwnicy. Przybył komendant sąsiedniego miasteczka, jakiś starszy major, i wydał pierwsze rzeczowe rozkazy. Polecił przede wszystkim poszukać wśród okolicznych mieszkańców stolarza i gdy przyprowadzono go przed niego, nakazał mu na następny dzień zrobić trumnę. Potem wydał rozkaz, aby jeńców, zamkniętych w piwnicy powiadomić przez tłumacza, że będą rozstrzelani pojutrze o godzinie piątej rano, jeśli do tej pory nikt nie wskaże miejsca, gdzie ukrywają się mordercy. Później zarządził, aby bezzwłocznie powiadomiono o tej decyzji okoliczną ludność. Wreszcie omówił z kapitanem szczegóły odprawy, która miała się odbyć 13 września o godzinie 15-tej z udziałem dowódców, zakwaterowanych w pobliżu jednostek i poradził solidnie wzmocnić posterunki. Obiecał jak najszybciej przysłać więcej karabinów i amunicji, aby poprawić kiepski stan uzbrojenia kompanii. Na koniec wspomniał, że to w jego rejonie już piąty zabity od początku wojny. Tamtych czterech rozerwały miny, założone potajemnie w nocy na boku drogi przez partyzantów. Ostatecznie major odjechał z powrotem do miasta, odprowadzony do samochodu przez salutującego na pożegnanie kapitana.

Tymczasem nadszedł wieczór, kompania — strzeżona przez wzmocnione posterunki — ułożyła się do snu. Kilku strażników krążyło po wiosce, na dziedzińcu szkolnym także stał uzbrojony w karabiny posterunek, do którego należał i Robert. Ze względu na małą liczbę karabinów zmiana warty następowała zawsze na ganku budynku szkolnego, gdzie schodzący ze służby żołnierze oddawali broń luzującym ich kolegom. W ten sposób unikano sytyacji, w której obejmująca posterunki grupa musiałaby iść bez broni przez ciemną i zamarłą w milczeniu wioskę, a jednocześnie nie narażono na to samo niebezpieczeństwo zluzowanych wartowników, którzy dopiero w pokoju strażniczym oddychali z ulgą po przejściu groźnego odcinka.

Pierwszy posterunek Roberta zaczął się o godz. 10-tej wieczorem i trwał do północy. Chociaż wysoki mur ochronny otaczał dziedziniec szkolny, a bliskość wartowni i pogrążonej w głębokim śnie kompanii powinna napawać spokojem i poczuciem bezpieczeństwa, Robert przez cały czas był jednak bardzo podniecony. Za każdym razem, gdy obchodząc budynek dostrzegał koło kuchni polowej ciemną plamę, która mimo mroku wyraźnie odcinała się od jasnego piasku dziedzińca, serce pchało mu się do gardła. Usłyszawszy za sobą jakiś ostry, metaliczny szczęk, padał szybko na ziemię, wysuwając w tym kierunku gotowy do strzału karabin. Dopiero w chwilę potem uświadamiał sobie, że to poruszył się w czasie snu jeden z koni, podzwaniając łańcuchem.

Koledzy Roberta, którzy trzymali straż poza szkołą, chociaż chodzili dwójkami, byli także podnieceni i napięci do ostatecznych granic. Wystarczył szelest jakiegoś przydrożnego krzewu, pień jakiejś starej majestatycznej wierzby, wychylającej się z mroku i nagle spokojną ciszę nocną rozrywał nerwowy, szczekliwy strzał, któremu w chwilę potem odpowiadały zatrwożone głosy karabinów ze wszystkich stron wioski.

Kwadrans przed czwartą znów obudzono Roberta. Wstał z siennika aby przygotować się do powtórnego objęcia warty. Matowy czworokąt okna powoli nasiąkał wczesnym brzaskiem nadchodzącego świtu.

Aż do tego momentu nie ma w całej tej historii niczego, co zasługuje na specjalną uwagę. Takie rzeczy dziać się mogły zawsze i wszędzie. We wszystkich krajach świata i poprzez wszystkie epoki historii rodu ludzkiego, drapieżni zaborcy napadali na spokojnych sąsiadów, patrioci bronili swej ojczyzny w krwawej zaciekłej walce podziemnej, toczonej na tyłach wroga, zawsze i wszędzie napastnicy w porywie mściwego odwetu chwytali zakładników, zawsze i wszędzie młodzi niedoświadczeni żołnierze, nowicjusze w fachu masowego mordu, trzęśli się z lęku podczas pierwszych, groźnych nocy spędzanych na obcej ziemi.

Naprawdę nie opłacałoby się tak znanej historii, którą przedstawiliśmy, jeszcze raz powtarzać, jeszcze raz opowiadać i słuchać, gdyby nie wyszła na jaw owa potworna omyłka, którą ukrywały pozornie zwykłe w naszym opowiadaniu wydarzenia.

Wprawdzie o tej pomyłce wiedziało tylko dwóch ludzi, a dla innych sprawa do końca zachowała charakter jednego z wielu zwykłych wypadków, ale ponieważ jeden z tych, którzy znali całą prawdę, przypisywał jej wielkie znaczenie, ponieważ dla siedemnastoletniego czeladnika zegarmistrzowskiego Roberta S. sprawa ta była momentem przełomowym, warto chyba o niej opowiedzieć i warto opowiadania wysłuchać.

Właściwie przypadkowi tylko należy zawdzięczać, że ta pomyłka w ogóle wyszła na jaw, bo była tak trudna do wykrycia, że już na zawsze pozostać mogła w nieodgadnionym mroku. I co za dziwny zbieg okoliczności, że do wykrycia tej pomyłki przyczynił się, chociaż mimowoli, człowiek, któremu najwięcej musiało zależeć na tym, aby nikt nigdy nie domyślił się prawdy.

Robert stał na środku pokoju i strzepywał z munduru resztki słomy gdy wszedł kapitan K. Sierżant zameldował prawie szeptem, że do tej pory nie zaszło nic ważnego Kapian wyszedł na podwórze, aby odebrać meldunek od żołnierza, trzymającego straż obok kuchni polowej. Po odebraniu meldunku rozkazał strażnikowi, aby udał się z nim na obchód wioski, sierżantowi zaś polecił wystawić natychmiast na jego miejsce innego wartownika.

Kapitan odszedł już dosyć daleko, gdy sierżant uprzytomnił sobie, że dla nowego posterunku na dziedzińcu nie ma karabinu. Chciał już wysłać Roberta bez broni, gdy jeden z żołnierzy przypomniał o flincie myśliwskiej kapitana, która na pewno wisi jeszcze na przedniej ścianie wozu. Sierżant poszedł tam z Robertem, poczekał aż strażnik przepisowo ujął karabin do ręki i wrócił do pokoju wartowniczego. Robert zaczął na nowo swój obchód Czuł gładkie drewno kolby, ocierające się o biodro. Na wschodzie rosła jasność.

Dwie godziny później Robert stoi na progu wartowni, w lewej ręce trzyma zdjęty z pleców karabin i ze zdumieniem spogląda na mały metalowy przedmiot w prawej dłoni. Nie może zrozumieć, jak w lufie nieużywanego do tej pory karabinu znalazła się pusta gilza po wystrzelonym naboju. Jedna po drugiej wracają dwójki wartowników, oddają broń i amunicję sierżantowi. Liczba posterunków zostaje zmniejszona do normalnej obsady, kompania zabiera się tymczasem do zwykłych przygotowań przed wymarszem na miejsce pracy. Robert także oddał swoją broń i pozostałą amunicję. Pustą gilzę schował do kieszeni.. Do południa ze względu na odbytą w nocy służbę ma czas wolny. Idzie do pokoju i próbuje zasnąć.

Nie może zasnąć. Prawa dłoń tkwi w kieszeni i zaciska się wokół miedzianej gilzy. Niepokój wzrasta z minuty na minutę.

Wreszcie nie mógł dłużej wytrzymać. Zerwał się i zbiegł na dziedziniec. Na pozór obojętnie zbliżył się do kuchni polowej. Nowy kucharz, wczoraj jeszcze zwykły kuchcik, siedział przy obieraniu kartofli i po raz dwudziesty siódmy opowiadał dokładnie o całym zajściu.

„Więc ja sterczę akurt przy popielniku i zsypuję popiół. On stoi obok mnie i miesza w popiele. Wsypałeś już sól? — pyta. — Nie, jeszcze nie — odpowiadam. — No, będzie jeszcze czas na to — mówi i idzie do wozu. Widzę jeszcze, jak podnosi na przodzie klapę i wyjmuje torebkę z solą... Potem musiałem znowu zerknąć na ogień. Słyszę, jak się zamyka klapa — i wtedy ten pies strzelił. Naturalnie, przeraziłem się cholernie. Konie pod murem weirzgają i szarpią łańcuchami, w uszach cicho jakby ogłuchł, w powietrzu smród prochu. Ale tego psa, co strzelił, nigdzie nie było widać, musiał przymierzyć wprost z muru i zaraz potem zeskoczyć w dół na tamtą stronę. Podniosłem łeb i zobaczyłem co się stało. Obok niego stoi jeden z pomocników, też cały zakrwawiony i patrzy z otwartą gębą na zabitego. Dopiero po chwili pognaliśmy przed dom, aby was zaalarmować. Resztę już wiecie sami".

Przez cały czas, słuchając tego opowiadania, Robert patrzył z bijącym sercem to na ciemną plamę piasku, to na przednią ścianę wozu. Był coraz bardziej podniecony. Wrócił do budynku i wszedł do pokoju sanitariusza.

— Co się stało?

— Nie mógłbyć mi dać nowego plastra? Chodzi o lewą stopę...

— Pokaż-no ją!

Robert ściągnął but i skarpetę, sanitariusz pochylił się nad piętą.

— Już nic ci nie trzeba — mruknął pod nosem No, ale jeśli chcesz — dodał i podszedł do skrzynki z opatrunkami.

— Powiedz mi — zaczął Robert obojętnym głosem — czy po ranie można poznać skąd padł strzał?

— Jasne — odrzekł sanitariusz — przynajmniej w wielu wypadkach.

— A u kucharza? Myślę o tym wczorajszym...

— U niego także. Nawet zupełnie dokładnie Tamto bydlę musiało stać koło muru, właściwie nawet jeszcze bliżej. No, masz tu swój plaster.

Robert podziękował, wciągnął but i poszedł znów do kuchni polowej. Nowy kucharz stoi przy kotle i miesza. Robert patrzy na niego przyjaźnie i pyta.

— Co dzisiaj?

— Kapusta — odpowiada kucharz i miesza dalej.

— Znowu?

— Chciałbyś coś lepszego?

— Czy nie można by sarniej pieczeni? — pyta Robert i uśmiecha się przy tym.

— Sarniej pieczeni! — kucharz śmieje się także i dodaje: — Chyba masz trochę w czubie?

— Jak to? — mówi Robert. — Myślałem, że nasz stary jest myśliwym?...

— Chciałby pewnie nim być, ale jak dotąd nic z tego nie wychodzi.

— Jeszcze niczego nie ustrzelił?

— Nawet myszy! Raz w czasie marszu, wtedy, kiedy fajtnął ten mały G. z III plutonu, stary już się złożył do strzału, ale sarny były szybsze, a przede wszystkim chytrzejsze, niż on...

— A potem nie strzelał już więcej?

— Nie — odpowiada kucharz i miesza wielką chochlą swój kapuśniak.

***

„Wejść!" — zawołał kapitan i zerknął ku drzwiom. Robert wszedł i stanął zaraz za progiem.

— Czego chcesz? — kapitan spojrzał pytająco na bladą twarz młodego chłopaka.

Gdy Robert skończył swoje zeznania, kapitan, który cały czas leżał w milczeniu na łóżku polowym, wstał i podszedł do niego.

— To wszystko jest przecież jednym głupim wymysłem — wyrzucił wreszcie z siebie.

— Tak było, jak mówię, panie kapitanie — odpowiedział Robert i spojrzał prosto w oczy szefowi kompanii.

— No i co, jak sądzicie, co teraz mamy zrobić?

— Tego nie wiem — odparł chłopak — to już pan kapitan powinien wiedzieć.

Kapitan chodził przez chwilę po pokoju, potem dopiero zaczął swój wykład, wyjaśniający całą sytuację. Po piętnastu minutach Robert opuszczał pokój, dowiedziawszy się od kapitana, że. po pierwsze: zmarłych nie można przywrócić życiu, po drugie: w żadnym wypadku nie wolno narażać na szwank prestiżu armii niemieckiej, po trzecie: Robert musi milczeć.

Tymczasem wiejski stolarz wykonał polecenie, zwłoki kucharza koledzy złożyli w trumnie, którą — przystroiwszy kwiatami i flagami, wystawiono przed budynek szkolny, przy czym czterech żołnierzy miało pełnić przed nią wartę honorową aż do czasu pogrzebu.

Ponieważ kompania znajdowała się jeszcze na miejscu pracy, sierżant zebrał tych, którzy odpoczywali po nocnej służbie i oto Robert w parę godzin po rozmowie z kapitanem stał nieruchomo u stóp trumny z karabinem na plecach, tak samo, jak trzej pozostali żołnierze, bez zmrużenia powiek patrząc przed siebie.

Po przeciwległej stronie drogi wyczekiwała znowu grupa dzieci i kobiet, które zaczerwienionymi od płaczu oczyma spoglądały na budynek szkolny. Robert początkowo sądził, że wzruszyła ich śmierć obcego żołnierza, później jednak powiódł wzrokiem za spojrzeniem niewiast i zwrócił głowę w bok ku zakratowanym oknom piwnicy. Za ciemnymi prętami okratowania bielały jak owalne plamy kredowe twarze zakładników. Ten widok napełnił wartownika nagłym strachem, który uderzył w niego, jak potężna fala. Zdało mu się nagle, że u jego stóp otworzyła się potworna przepaść, że z jej dna wychylają się ku niemu białe kredowe plamy i jakąś magiczną siłą prowokują do rozpaczliwego skoku. Skronie waliły jak młotem. Z trudem opanował się, aby nie uciec z posterunku i nie pognać do kapitana.

Pognał do niego zaraz po zmianie warty. Otworzył drzwi bez pukania.

— Czego chcesz znowu? — zapytał kapitan, spoglądając niechętnie.

— Pan musi to wyjaśnić, panie kapitanie — szepcze Robert podniecony. — Ze względu na zakładników musi pan, panie kapitanie.

Przez kilka sekund panuje w pokoju zupełna cisza. Kapitan siedzi i oddycha ciężko, a żyła na jego czole nabrzmiewa coraz bardziej. Nagle podrywa się i z wściekłością wyrzuca chłopaka z pokoju.

Po przerwie obiadowej znów poprowadził kompanię do pracy. Za wioską przywołał Roberta ku sobie. Przeskoczyli obydwaj rów przydrożny i szli piaszczystą ścieżką, która biegła tu w cieniu drzew równolegle do drogi. Powoli zostawali w tyle za maszerującą kolumną.

— Więc tych dziesięciu zakładników nie daje ci spokoju — zaczął kapitan ojcowskim tonem.

— Zginą niewinnie — odparł chłopak i spojrzał płonącym wzrokiem na oficera.

— Nie można ich uratować nie narażając na szwank naszego prestiżu — odrzucił kapitan.

— Tak, ale oni zginą przez pomyłkę — powtórzył chłopak

— Któż ci mówi, że przez pomyłkę? — zaczął na nowo kapitan po dłuższej pauzie. — Czy co dzień i co godzina nie giną w tym wrogim kraju twoi i moi koledzy, zamordowani podstępnie i po tchórzowsku? Czy każdy Polak nie jest naszym śmiertelnym wrogiem? Alboż to nie wszystko jedno, czy powód, dla którego tych 10 będzie jutro rano rozstrzelanych istnieje w rzeczywistości, czy jest fikcją, jeśli w tej samej chwili gdzieś w innym miejscu tego kraju ktoś inny sprawia, że jest on powodem dostatecznie realnym?

Robert, milcząc, spoglądał ku ziemi.

— A poza tym, rzecz najważniejsza, mój chłopcze — kapitan ciągnął dalej ściszonym przenikliwym głosem. — Każdy martwy wróg — to jeden wróg mniej. Rozumiesz? Każdy martwy wróg zbliża nas o centymetr do ostatecznego zwycięstwa, zwycięstwa, dla którego walczymy. My wszyscy, ty także, i ja. Dlatego musimy milczeć. Dlatego musisz milczeć. Obiecujesz?

Kapitan wyciągnął rękę. Robert przyglądał się jej, idąc wolno, krok za krokiem. Widział jasne włosy na przegubie dłoni i u nasady kciuka, widział błękitne żyłki i czerwone zgrubienia wokół stawów. Przyjął wyciągniętą dłoń.

Nikt nie mógł później powiedzieć, który z nich dwóch wdepnął pierwszy na minę... Kompania na odgłos detonacji rozproszyła się po obydwu stronach szosy, szukając schronienia w rowach przydrożnych i dopiero kilka minut później, gdy wszystko już się uciszyło, paru śmielszych żołnierzy odważyło się zbliżyć do miejsca wypadku. Na piaszczystej dróżce znaleźli płaskiej, a w pewnej odległości od niego — porozrywane szczątki dwóch mężczyzn.

14 września na miejscowym cmentarzu parafialnym przy licznym udziale niemieckich jednostek wojskowych odbył się pogrzeb kucharza i dwóch ofiar wybuchu. Wspaniała była mowa komendanta miasta. Wczesnym rankiem poprzedniego dnia pod ścianą lasu na południe od wioski rozstrzelano 10 polskich zakładników.

Bruno Hampel

NA ZAMÓWIENIA KIEROWANE DO ADMINISTRACJI „DZIŚ i JUTRO" ŚP. WYD. „PAX" WYSYŁA POWIEŚĆ

BRUCE MARSHALL

CHWAŁA CÓRY KRÓLEWSKIEJ

PROSIMY O WPŁATĘ ZŁOTYCH 750 za EGZ. NA KONTO PKO I-8515 LUB PRZEKAZEM POCZTOWYM

Próbki prozy (Bienka i Schroersa), poezji (Kunerta) i krytyki (Weidenmullera) zebrane tu pod wspólnym tytułem mają ułatwić czytelnikom polskim zapoznanie się z charakterem twórczości najmłodszej generacji literackiej współczesnych Niemiec. Autorzy prac, udostępnionych w tym wyborze (skromnym, choć nieprzypadkowym) to młodzi dwudziestoletni debiutanci. Gdy Hitler doszedł do władzy, mieli... cztery lata, w dniu wybuchu wojny liczyli lat dziesięć w epokę Nowych Niemiec wstąpili jako piętnastoletni chłopcy. Wszyscy reprezentują rocznik 1929.

Prace ich zasługują na uwagę nie ze względów literackich, bo czytając je z tego punktu widzenia łatwo w nich napiętnować zbyt wyraźne wpływy remarquizmu, (Kunert, Bienek), czy niewymyślnej symboliki neoromatycznej (Schroers). Chodzi o co innego. O wspólną wszystkim — przykładowo tu przedstawionym — próbkom ambicję zmierzenia się z najtrudniejszymi problemami metafizycznej niemal natury, ambicję postawienia i rozwiązania tych zagadnień których wielkie znaczenie uwyraźniła miniona wojna.

Za wcześnie dzisiaj aby osądzać wyniki tej ambitnej walki. Być może że podjęto ją mierząc siły na zamiary. Być może, że większość się z niej wycofa, a tylko mała grupka wyjdzie zwycięsko. Jedno jest pewne, zmagania tej najmłodszej generacji i jej rozwój pewinniśmy śledzić jak najczujniej, powinniśmy jak najgłębiej wnikać w istotę jej wszystkich dążeń. przede wszystkim zaś powinniśmy ją jak najlepiej poznać, jak najżywiej się nią interesować.

Ze zrozumienia tej potrzeby wyrósł projekt rozpoczęcia takiej właśnie akcji w tym numerze naszego pisma. Podejmujemy ją z wiarą, że ma ona i polityczny i ponadpolityczny sens.

Günter Kunert — tłum. St. Zyglich

Pod przykryciem z betonu

Tu leżę ja.
Ja, nieznany żołnierz, zmarły bohatersko
w dwudziestym dziewiątym miesiącu
olbrzymiej bitwy.
Leżę tu pod błotem i gnojem
przeorany lub zmiażdżony.
Jednak historia, czas, rozwój
gna dalej

Przeniosą mnie wkrótce gdzieindziej
Znajdą mnie i do miasta poniosą.
Będę leżał pod przykryciem z betonu

Na mnie stoi pomnik.
Ludzie pędzą i auta suną po asfalcie
Odświętni spacerowicze, policjanci.
Raz słońce promienne.
Raz deszcz.
Pustka.

Czasem tylko nadciąga pułk,
Z muzyką i łopotem sztandarów.
Potem cylindry i czapki z galonem
Przychodzą do mnie.
Przynoszą mi kwiaty
Jako podarek.

Ale te kwiaty nie są podarkiem.
Już za nie zapłaciłem.
I nie tylko za kwiaty
Za pomnik nade mną zapłaciłem.
Zapłaciłem za cylindry, za złoto galonowane czapki,
i za głowy pod nimi.

Zapłaciłem za wozy, wieczory z muzyką i za kobiety.
Dałem im zdrowie, pełne żołądki i tłuste dywidendy.
Dałem im możliwość działania i myślenia.
Uczyniłem ich wielkimi szaleńcami.
Mordercami, którzy biorą pensję.

Stworzyłem ich.
I tchnąłem w nich wieczne życie.
Gdy sam zdychałem.

Oto leżą kwiaty.
Gdy płatki ich opadną, panowie podzielą się orderami,
Gdy wiotkie łodygi ich wyschną, uścisną
Cylindry i czapki swe dłonie.
Uśmiechną się i powiedzą:
„Nie chcemy więcej wojny"!
Pułk oddał salwą salut, tłum wiwatuje,
a gdzieś daleko akcje stali wzrosną i
morderców kobiet znowu zaczną uczyć.
To już jest koniec.
Grając na trąbach maszerują znowu.
Pułk cichnie w dali.
Znów grzmi huk werbli —
Głośno i wyraźnie —
Słyszycie?

POKOLENIE

Horst Harry Bienek — tłum. Z. Tykociński

DLACZEGO?

Zagwizdały pierwsze granaty. Runęliśmy na ziemię. Ten gwizd, przeklęty gwizd. Huk. Ziemia wytrysnęła ponad nas fontanną. Przycisnąłem twarz do bruzdy. Bałem się...

Gdyby mnie tu przysypało, pomyślałem. O, Boże. To byłoby straszne! Żywcem pogrzebany...

Znów gwizd! Słyszałem wybuchy. Czułem drżenie ziemi. Trafiały mnie jakieś twarde grudy. Czułem, że krzyczę, że gryzę tłustą, gliniastą darń. Ze strachu. Klaus!

Gdzie jest Klaus?

Powoli podniosłem głowę i spojrzałem w noc. Przede mną błyskały ognie dział. Gdzie może być Klaus? Gdy zaczął się obstrzał, leżał obok mnie.

Znowu ten gwizd, przeklęty... Wcisnąłem się kurczowo w ziemię. Huk! Kamienie i grudy znowu zaczęły prażyć, zdawały się nieomal przysypywać mnie całego. Nagle wstrząsnął mną ostry ból. Pomacałem lewą ręką. Krew.

Teraz dostałeś — pomyślałem. Zjeżdżaj! Próbowałem otrząsnąć z siebie ziemię.

Przed sobą widziałem głęboki lej. Przypomniały mi się słowa sierżanta: „granat rzadko trafia w lej". Zamknąłem oczy i skoczyłem. Lej był zalany wodą. Przemokłem zupełnie. Kolano zaczęło piekielnie boleć. Oparłem się o stromą ścianę i odgarnąłem z twarzy mokre włosy. Nade mną szalał ogień i huk. Ponad nim dostrzegłem migotanie gwiazd. Obmacywałem dłonią boki leja. Jak stąd wylezę?

Nagle zabłysła w górze świeca lotnicza i zalała okolicę oślepiającym blaskiem. Widziałem spadające snopy światła. Spostrzegłem, że mój lej jest bardzo głęboki. Przynajmniej na trzy metry.

I spostrzegłem... Cholera! W wodzie pływały napęczniałe, rozdęte zwłoki ludzkie z krwawymi kikutami nóg. Czaszka była rozwalona. Wypływał z niej mózg. Oczy sztywno patrzyły ku niebu. W sztucznym świetle trup promieniował jakimś fosforycznym blaskiem.

Uciekać! Dalej! Wyleźć z tej dziury!

Widziałem, że zwłoki powoli podpływają ku mnie. Wokół nich woda barwiła się na czerwono.

Uciekać! Wyjść! Wyjść!

Zacisnąłem zęby. Wpiłem się pazurami w ścianę leja. Podciągnąłem się ku górze. Śliska ziemia uciekła mi z rąk. Spadłem do wody. Spróbowałem jeszcze kilka razy. Znowu i — znowu. Aż nagle zgasło światło w górze. W ciemności fosforyzował trup. Uspokoiłem się. Poczułem, że mam pełno w spodniach. Nie wiedziałem, kiedy to się stało. Świństwo — pomyślałem. Najchętniej zawyłbym jak pies. Najchętniej zawołałbym matkę. Ale czy można coś takiego robić mając siedemnaście lat? Milczałem, bałem się swojego krzyku. Bałem się tego trupa.

Gwizd i huk, trzask granatów i jazgot karabinów, od którego aż wszystko się trzęsło tam na górze, nie miały już dla mnie żadnego znaczenia. Tu już mnie tamto nie dotyczyło. Granat rzadko trafia w lej. Dla mnie miał znaczenie tylko trup, który pływał obok.

Czułem, że woda sięga mi do bioder. Podnosi się! Spróbowałem wdrapać się na ścianę i znowu opadłem. Przemokłem doszczętnie. Wyjść! — wykrzyknąłem i zacząłem rozgarniać wodę wokół siebie. Natrafiłem ręką na kleisty, miękki mózg. Spojrzałem na palce. Zupełnie spokojnie. Czyżbym już zwariował? Szybko zanurzyłem dłoń do wody, aby opłukać ją z krwi. Chwyciły mnie mdłości. Nie wytrzymałem. Wymiotowałem na zwłoki. Sanitariusz — krzyczałem jak oszalały. Sanitariusz... Wyjść... Wyjść... Wydostać się. Wpiłem się pazurami w ziemię. Rozgryzłem wargi do krwi. Usiłowałem podciągnąć się na ścianie ku górze... Obsunąłem się i spadłem z powrotem do wody. Sanitariusz — krzyczałem. Sanitariusz! i przepłynąłem na drugą stronę leja. Po drodze trąciłem zwłoki. Znów atak torsji. Sanitariusz... Mamusiu... Wyjść, wyjść... Czerwone punkciki tańczyły mi przed oczyma. Chwyciłem się mocno ściany. Nie chciałem umierać! Na miłość Boską — nie! Nie!!

Woda sięgała mi do piersi. Już kilka razy łyknąłem jej trochę. Miała obrzydliwy, trupi smak. Za każdym razem, gdy obsuwałem się ze ściany leja, wpadałem w tę brudną, lepką sadzawkę aż po czubek głowy. Strach naprowadził mnie na genialną myśl: wyrzucić trupa. Ale wsrząsałem się przed dotknięciem go chociaż palcem. Zacząłem krzyczeć ze wszystkich sił. Czy nikt mnie nie słyszy? Przemknęło mi przez głowę: co się stało? Czy ja krzyczę, czy nie? A może nie wydałem żadnego dźwięku? Mam utonąć w tym bajorku? Nie chcę umierać! Jezus Maria! Pomocy! Nie chcę umierać, Boże drogi!

Woda sięgała mi po szyję. Oparłem się o ścianę leja i stałem spokojnie. Oddychałem wolno. Ale to była tylko gra. Śmiertelne przerażenie czaiło się za karkiem. Ja nie chcę... mamo... ja nie chcę umierać! Popłynęły mi z oczu gwałtowne łzy. Zmieszały się z brudną wodą. Boże, dlaczego mam umrzeć? Przecież nie zrobiłem nikomu nic złego! O, Jezus, Maria! Tak zginąć... O, Boże, ratuj!

Krzyczałem i płakałem, wyłem, jęczałem, ryczałem. Skakałem jak opętany na ścianę, spadałem w dół, kształciłem się, łykając ohydną ciecz, kasłałem, z trudem chwytając powietrze. Robiło mi się czarno przed oczyma. Składałem ręce do modlitwy. Przeklinałem. Nie ma tu nikogo? Do cholery! Mam tu zginąć? Przeklęci, przeklęci...

Wśród bluźnierstw i płaczu słałem modlitwy do Boga; modliłem się do Matki Boskiej; wołałem swoją matkę, ryczałem o sanitariusza. Raz nawet wołałem o Klausa. To był dobry kolega. Czy żyje jeszcze? On by mi pomógł. Na pewno.

Woda dostawała mi już do pod bródka. Skąd tu tyle wody? Wspiąłem się na palce. Nie płakałem już. Nie jęczałem. Nie krzyczałem, nie rzygałem. Nic, nic. Nie drgnąłem nawet, gdy podpłynął do mnie trup z wywalonymi na wierzch oczyma. Ale nagle wydało mi się, że poznaję rysy mojego przyjaciela Klausa.

Znów zacząłem krzyczeć. Zachłysnąłem się przy tym wodą. Znowu łyk. Jeszcze jeden. Czułem, że umieram.

Umierałem.

W pobliżu uderzył granat i ziemia w leju zaczęła się osypywać. Topiłem się. Ziemia grzebała mnie żywcem.

Przeszyło mnie gorące żelazo. Chyba odłam. Odłamek granatu.

Umierałem jako zwykły siedemnastoletni żołnierz. Będę nawet miał pochówek. Bez trumny i chorągwi. Dzięki Bogu. Bez księdza i mowy pogrzebowej. Bez śpiewu żałobnego i modlitwy za zmarłych. Przykryje mnie tłusty, ciężki czarnoziem ukraiński. Gdy wróci na swoje pola przepędzony stąd kiedyś rolnik i obsieje swoje zagony, zdziwi się urodzajem gleby, obfitym plonem zbóż. My, żołnierze, świetnie nawozimy ziemię.

Obok mnie leży trup. Nie wiem, czy to trup Klausa, czy nie. Ale to nieważne. Jestem pogodny. Bardzo pogodny. Nie czuję się samotnie. Wokół ciemno, nie widzę otaczających mnie okropności. Nie krzyczę. Moja mama dostanie wkrótce list. Będzie płakała, ale nigdy się nie dowie, jak trudno umierać. A może łatwo? Trudno... łatwo... trudno... łatwo.. trudno...

Wiesz, mamo, gotów byłem zawsze umrzeć za ciebie. Gdy ci o tym mówiłem, śmiałaś się ze mnie. Myślałem wtedy serio. Mamo, kochałem cię naprawdę. Ale teraz nie dla ciebie umarłem.

Potem chciałem umrzeć dla Fryca. To był mój najlepszy przyjaciel. Ale i nie dla niego teraz umarłem.

Potem chciałem umrzeć dla Ingi. Tak, Ingo, pamiętasz, jak często ci to wyznawałem. Dla ciebie chętnie bym umarł. Gdybyś mnie nie lubiła, wbiłbym sobie nóż w serce. Pamiętasz? Tak wtedy mówiłem. Ale i nie dla ciebie teraz umarłem.

Dla Führera? narodu? ojczyzny? Nie! Nie dla nich! Nie dla Boga czy jakiegoś świętego. Nie dla oficerskiego munduru. Nie dla orderów.

Dlaczego umarłem?
Dlatego, że jest wojna?
Dlaczego jest wojna?
Dlaczego?...

Wszyscy, którzy leżą obok mnie, użyźniając ziemię, szepczą: „dlaczego... dlaczego..."

Popierajcie

Katolicki Uniwersytet Lubelski

NAJMŁODSZYCH

Rolf Schroers

tłum. K. R.

CZŁOWIEK Z WORKIEM

Wczoraj natknąłem się na obdartego człowieka, który wlókł się przez ulicę z workiem na plecach. Naturalnie potrącił mnie, a ja obrugałem go za to. Ale nagle człowiek ten zatrzymał się, opuścił worek na chodnik, odwrócił głowę i wlepił we mnie okropne oczy. Uciekłem przerażony.

Dzisiaj zaledwie wyszedłem z bramy ujrzałem, że z przeciwnej strony idzie ku mnie ten sam facet. Chciałem umknąć w bok. Jednak tamten sapiąc podążał za mną. Zacząłem biec, przegonił mnie i zastąpił mi nagle drogę od przodu, hamując sobą przejście. Zziajany i spocony z workiem na zgiętych plecach przyglądał mi się bacznie. Chciałem ostrożnie prześliznąć się bokiem. Wtedy przycisnął mnie ciężkim swoim workiem do ściany domu. Krzyknąłem i zacząłem się wyrywać. Typek zachichotał i pozwolił mi uciec.

Ale kilka kroków dalej stał znowu przede mną, złośliwy i czujny. Ciężki worek wyglądał podejrzanie na jego plecach. Może chciał przerzuciwszy go nagle do przodu obalić mnie jego ciężarem, może zamierzał opróżniony worek zarzucić mi na głowę i dusiłbym się w wilgotnym, twardym pokrowcu, a on zaciągnąłby sznurek i poniósłby mnie na swoich szerokich plecach, taszczyłby po jakichś trzeszczących schodach, aż tam gdzie przywitanoby jego przybycie tajemniczym szeptem?

Podrzucił lekko worek na plecach, coś tam w środku zadźwięczało, facet odwrócił się i zaczął iść. Idzie przede mną. Chcę zemknąć w jakąś bocznicę, ale ten gość obserwuje mnie bacznie. Ogląda się i potrząsa głową, podzwania workiem. Onieśmiela mnie. Muszę być mu posłuszny. Nie mogę uciec od niego, idzie przede mną czujny i uważny.

Weszliśmy w jakąś nieznaną część miasta. Zacząłem się bać, że stracę go z oczu, więc przycisnąłem się do niego bliżej, kładąc dłoń na worku. W worku zadźwięczało coś cicho. Poczułem, że staję się nagle ogromnie chciwy, że taki byłem zawsze, już od urodzenia. Facet już nie pilnował mnie. Sam rozgorączkowany lazłem za nim. Płonąc chciwością popędzałem go naprzód wytężając wszystkie siły. Nie czułem prawie stęchłego zapachu na schodach, niemal jednocześnie przecisnąłem się — nie spuszczając dłoni z worka — przez drzwi. Tamten zrzucił wreszcie swój ciężar, worek rozwiązał się i po podłodze rozsypało się błyszczące złoto. Upadłem na kolana i zacząłem je zgarniać. Uśmiechając się szyderczo ów obdarty człowieczyna przytrzymywał mi worek, a ja wrzucałem do niego wszystko, co mogłem zagarnąć: najprzód złoto, złote monety, srebro, miedziaki, szeleszczące banknoty, obrus ze stołu, pościel, buty, koszule, krawaty. Tamten kiwał głową, wskazywał rozkazująco na różne przedmioty, które powinienem zabrać, troszczył się, abym czegoś nie przeoczył.

Sam poddaje mi wypchany wór na plecy, a ja szczęśliwy, postękując pod ciężarem, schodzę po schodach, idę przez obce uliczki. Jednak musiałem zabłądzić, nie umiem odnaleźć właściwej drogi.

Wór ciąży coraz bardziej. Wchodzę do tego oto domu, wspinam się po spróchniałych schodach, sapię głośno w zaduchu sieni, znajduję ten oto pokój, to oto łóżko, kładę wór pod głowę i leżę ze wzrokiem utkwionym w ślepe, bezradne zwierciadło.

Rolf Schroers

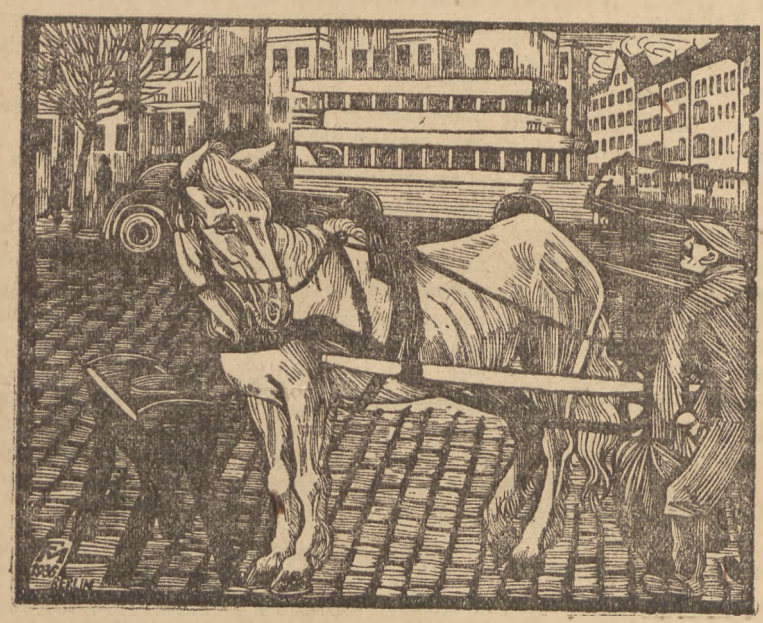

Conrad Felixmueller

Kurt Sieht

Gerhard Weidenmueller

tłum. S. Z.

Proza po drugiej wojnie światowej

Horst Harry Bienek (autor opowiadania pt. „Dlaczego?") znajduje się ze swoim utworem jeszcze w pierwszym stadium powojennym literatury niemieckiej, w stadium opisowej relacji, wołania o doznanych krzywdach, stawiania pytań o ich przyczyny. Wolfgang Grothe (autor opowiadania pt. „Kongres zmarłych") usiłuje już na te pytania odpowiadać, mimo to nie wychodzi poza tę samą problematykę wojenną. U obydwu autorów potępienie wojny jest jednoznaczne, jak zresztą u prawie wszystkich nowych pisarzy okresu powojennego. Pisarze ci usiłują przemawiać ludziom do sumienia, usiłują ukonkretnić głos sumienia. Dotychczas dokonywano tego poprzez spisywanie wojennego remanentu, poprzez oskarżające relacje opisowe: „To pańska wina, generale!", czy w podobny sposób. Spisanie remanentu wojennego, relacje opisowe i bezpośrednie oskarżenia są konieczne i usprawiedliwione, ale nie wyczerpują problemu. Następnym krokiem powinno być intensywne skierowanie wysiłków pisarskich ku sprawom wyjaśniającym przyczynowo społeczne i transcendentne problemy ludzi tego okresu. To, co do tej pory zrobiono w tym kierunku jest przeważnie nikłe i pełne niekonsekwencji. W tym punkcie spotykają się pisarze starszych i młodszych roczników: wszyscy po gwałtownych klęskach minionej wojny stoją na początku drogi, wszyscy muszą znaleźć nowy język, którym wreszcie będą mogli wytłumaczyć i przezwyciężyć stare kłamstwa naszej zgniłej cywilizacji. Było do przewidzenia, że po drugiej wojnie światowej, nie pojawi się tak prędko, jak po wojnie 1914 roku, literatura antywojenna, sprowadzająca się do opisu okropności. Tym razem wstrząs był znacznie głębszy, pisarze zdają się być już znużeni opisywaniem makabrycznych ran i innych potworności wojennych. Zamiast tego zdaje się wzrastać u nich skłonność do refleksji, do pytania o sens całej makabry. Wzrastającą refleksyjnością pisarzy tłumaczy się fakt, że nie zadowalają się już oni powierzchownymi rozwiązaniami; coraz to bardziej ujawnia się niewystarczalność tych prób odpowiedzi, które usiłują wyjaśniać zjawiska tylko ich uwarunkowaniem socjologicznym (w oryginale immer wieder verrät sich ein Ungenügen, wernn versucht wird, Antworten zu (formulieren, die das Geschchen allein aus dem gesellschaftlich—soziologischen Bereich erklären wollen). Owszem, uznać trzeba poprawność przekonywających analiz, dopóki dotyczą one ekonomiczno-materialnych przyczyn zjawiska, jednak pozostaje jeszcze jakaś reszta i należy oczekiwać, że powstaną „książki wojenne", po drugiej wojnie światowej, lub też jej skutki duchowe uzewnętrznią się w innej dziedzinie, która otworzy perspektywy na przyszłość. Bezwzględnie, takie książki jak Plieviera „Stalingrad", Simonowa „Dni i noce", Erenburga „Burza" są przede wszystkim remanentem, a nie „obowiązującą" formą, którą może jeszcze nie chciały być. Problem stosunku do wojny i pokoju sprowadza się naturalnie do bezkompromisowego potępienia każdej wojny imperialistycznej, to znaczy: do osobistego zaangażowania się, w którym pisarz musi wystąpić jako człowiek, jako publicysta. Wierzą jednak, że w przyszłości problem wojny i pokoju będzie musiał być w literaturze rozwiązywany poprzez ogarnięcie wszystkich zagadnień życia ludzkiego (a więc zagadnień sumienia, stosunku do śmierci, i w ogóle sensu istnienia) w sposób niezwykle zdecydowany i nowy.

Gerhardt Weidenmüller

Sprzeniewierzone niebo

(dok. ze str. 5)

To negatywnie postulowanie powrotu ku metafizyce nie jest ucieczką od ziemskiej rzeczywistości i spraw tego świata. Autor zdaje sobie sprawę, że człowiek na pewno nie samym chlebem żyje, ale na pewno też nie żyje samym duchem". (S. 357). Wiem, że „unikając herezji materialistycznej, łatwo popaść w niebezpieczeństwo przeciwne, w herezję idealistyczną" (ibidem). Dlatego pyta siebie i swojej epoki: „Kiedyż nareszcie zjawi się ów wielki człowiek, który rzetelny socjalizm połączy z metafizyką?" (S. 358).

Ten wewnętrzny niepokój, chęć przywrócenia właściwej hierarchii zjawiskom, chęć ukazania konieczności pogłębienia naszego życia metafizyką, chęć oparcia naszego życia na jakichś stałych, niezmiennych zasadach podyktowała Werflowi książkę, która jest nie tylko „historią pewnej służącej", nie tylko historią walk wewnętrznych i wewnętrznych tęsknot Warfla, ale historią wielu współczesnych ludzi.

Niosąc w sobie taki niepokój, taką tęsknotę — łatwiej można trafić do Lourdes, aby później napisać prześliczną „Pieśń o Bernadecie". Znając takie niepokoje i takie tęsknoty łatwiej zrozumieć głębię i sens każdej pieśni.

5.

Przedstawiając główne tezy powieści Werfla, nie wyczerpujemy, oczywiście, całości zagadnienia tego arcybogatego utworu literackiego. Cisną się pod pióro inne uwagi, dotyczące innych problemów, które autor niejako na marginesie zasadniczych roztrząsań przedstawił i niby mimochodem oświetlił. Czy będzie to kwestia etyki artysty, czy sytuacji Austrii przed „Anschlussem", kwestia uwarunkowań jednostki przez kontekst społeczny czy hipokryzji pewnych koteryjek wewnętrznokatolickich — wszędzie czuć głębokiego myśliciela i artystę.

Wszystkie interludia myślowe, wszystkie marginalia tematycznie zostały w powieści zespolone w organiczną całość, której trochę niepokojący zagranicznych recenzentów układ kompozycyjny został świetnie uargumentowany wewnętrzną logiką psychologicznego następstwa i związku faktów.

Osobny artykuł możnaby napisać o bogactwie typów ludzkich przedstawionych przez Werfla w omawianej książce. Znamy jego zdolności charakteriologiczne z „Pieśni o Bernadecie", ale kontakt czy to z przemądrzałym Bichlerem, czy „spadkobierczynią z zawodu" (Burufserberin) panią Zikan (nie mówiąc już o pierwszoplanowych postaciach jak: Arganowie, Teta, jej „protektor przed Panem Bogiem", czy wreszcie ks. Seydel), kontakt bezpośredni i, żywy nakazuje stwierdzić, że w „Sprzeniewierzonym niebie" Werfel — charakterolog lepiej jeszcze potrafił wykazać swoje umiejętności.

Język powieści, w pewnych rozdziałach trochę sztywny i protokolarny, w miarę rozwoju wypadków nabiera coraz większej plastyczności, aby wreszcie — nic nie tracąc z realistycznych walorów — stać się językiem pełnym poetyckiej niemal ekspresji.

I o bogactwie ubocznej problematyki, i o wspaniałej galerii postaci, i o sile języka, o wszystkim, co bliżej określiłoby Werfla jako myśliciela i artystę — pomówić chyba wypadnie przy innej okazji.. Tu staraliśmy się nakreślić jedynie ogólny profil dzieła, zasługującego na jak najszybsze, jak najgruntowniejsze poznanie go przez możliwie szerokie masy czytelników polskich.

Bo zawsze warto poznać dzieła głębokiej myśli i dojrzałego artyzmu. A „Sprzeniewierzone niebo" jest właśnie utworem myśliciela, który doszedł do głębi najistotniejszych problemów, jest jednocześnie dziełem artysty, który dojrzał do stworzenia pełnego wyrazu swoich przeżyć i przemyśleń.

ZYGMUNT LICHNIAK

ŹRÓDŁA

BRUNO HAMPEL — „IRRTUM", „OST UND WEST" HEFT 9, 1949.
GUNTER KUNERT — „GEDICHTE", „OST UND WEST", HEFT, 9, 1949.
HORST — HARRY BIENEK — „WARUM" HEFT, 9, 1949.
ROLF SCHROERS — „DER MANN MIT DEM SACKX", HEFT 10, 1949.
GERHARDT WEIDENMULLER — „PROSA NACH DEM ZWEITEN KRIEG", „OST UND WEST", HEFT, 10, 1949.
RYSUNKI — „AUFBAU", HEFT 9 UND 10, 1949.
LISTY — „OST UND WEST", HEFT 1, UND 10, 1949.

Jan Dobraczyński

STRZAŁY ZA HORYZONTEM 2)

Ten mały domek, dawny „pałacyk myśliwski", był zresztą wszystkim, co mu pozostało. Nigdy nie sądził, że mu tu przyjdzie mieszkać. Po wypuszczeniu z więzienia, ściągnął do Warszawy. Ale w Warszawie było mieszkać nie sposób: i on, i Róża pragnęli ciszy. Ułożyli więc życie w ten sposób, że przebywali w Warszawie w ciągu zimy, a wczesną wiosną wyjeżdżali na wieś. Otoczenie było im początkowo całkowicie obce. Tylko proboszcz i kierownik szkoły z pobliskiego miasteczka pośpieszyli ze złożeniem im wizyt. Szary światek miejscowy złożony z dawnych osadników wojskowych, podmiejskich „badylarzy", chłopów, małych rzemieślników, robotników i kupców trzymał się z dala od Franciszka. Wszyscy wiedzieli kim jest, ale nikt nie był skory do witania go. Czuł wokół siebie nieufność i jakby niechęć. Starał się tym nie zrażać. Już w więzieniu zdał sobie sprawę, że przyjdzie mu odbyć ku ludziom długą drogę powrotną. Począł zawierać znajomości. Podając rękę sklepikarzom, sąsiadom — ogrodnikom, robotnikom z miasteczka, przedstawiał się: „Poniatowski jestem" — jakby o tym nie mówiła jego smagła, piękna twarz, delikatnie zakreślone brwi, dziedzictwo po babce markizie Olmeda de Vargas. Po roku miał już wielu znajomych. Ale tylko znajomych.

Na terenie była zorganizowana kompania. Nie zgłaszał się do niej, pozostając przy przydziale warszawskim. Ale kiedyś zapytano go dlaczego nie jest dowódcą kompanii, skoro dowodzi nią tylko wachmistrz. Franciszek nie był zadowolony z tego, na swoim terenie nie chciał być żadnym dowódcą. Ale nacisk szedł z góry. Nie ustawał. Wtedy postanowił zetknąć się z dotychczasowym dowódcą, owym wachmistrzem.

Był to dawny wachmistrz 7 pułku ułanów z Mińska, a obecnie właściciel domku i sklepu na końcu wsi. Nazywał się Kamiński. Franciszek poznał go już poprzednio w stosunkach sąsiedzkich. Miał przed sobą małą figurkę, kolebiącą się na bajecznie krzywych nogach. Na długiej cienkiej szyi z wydatną grdyką kołysała się, niby makówka na wietrze, ptasia głowa o wąskim, szpiczastym nosie, ustach ocienionych żółtawymi, przystrzyżonymi z angielska wąsami i takiegoż koloru włosami, ułożonymi z przodu w przedziałek, zaś na tyle głowy tworzącymi niesfornego „wicherka". Kamiński cieszył się opinią kupca, u którego wszystko można dostać. Rzeczywiście starał się o to. Na półkach leżały towary dozwolone, spod lady wypływały — na żądanie znajomych nabywców — rzeczy zakazane. Założywszy sklep w 1939 r. w pół roku zwalczył wszystkich konkurentów. Zagroził nawet spółdzielni z sąsiedniej wsi. Sąsiedzi, mówiąc o Kamińskim, powiadali z uznaniem: „ten to robi forsę!" Żartowano, że na pewno zbiera „twarde" i „miękkie" i zakopuje w ogrodzie.

Franciszek zjawił się pewnego dnia w sklepie u Kamińskiego i przy butelce piwa wyciągnął go na rozmowę. Wachmistrz początkowo był uprzedzająco grzeczny. Kiedy jednak zrozumiał, ku czemu Franciszek zmierza, ochłódł. Obciągnięte jasnymi rzęsami powieki poczęły prędko mrugać, ciężka, koścista szczęka wysunęła się do przodu. Przymrużywszy oczy patrzył wyczekująco na Franciszka.

— Proszę mi wierzyć — zapewnił go Franciszek, — że ja się o to nie ubiegam. Robota znajdzie się dla każdego. Ale żądają tego ode mnie...

— Oczywiście — sucho stwierdził Kamiński, — panom oficerom nie w smak gdy podoficerowie dowodzą. — W zżółkłych palcach obracał papierosa „swojaka". — Myślą, że znają się lepiej na wojowaniu...

— Tu nie chodzi tylko o wojowanie — zauważył Franciszek.

— I na polityce... — dodał Kamiński. — Ale nie ma się o co, proszę księcia, użerać. Niech książę bierze ten oddział. — Niespodziewanie wrócił do ugrzecznionego tonu: — Będę księcia zastępcą, dobrze?

— No, naturalnie...

— Książę jest naszym sąsiadem. My po sąsiedzku. A ci oficerowie, niech ich tam...

Tak to został dowódcą kompanii.

Kamiński stał się za to „szarą eminencją" w oddziale. Wydawał się całkowicie z tego zadowolony. Jego podwładni podporządkowali się Franciszkowi z tą samą chłodną obojętnością, jaka cechowała stosunki pomiędzy „pałacykiem myśliwskim" a okolicą. Oddział był złożony z ludzi młodych, bardzo słabo wyszkolonych. Trzeba było się zająć przede wszystkim wstępną edukacją wojskową, co już nasuwało trudności, ponieważ teren był niebezpieczny, naszpilkowany oddziałami i formacjami niemieckimi. Mimo słabego przygotowania chłopcy rwali się do akcji. Z myślą o nich Franciszek podjął się zorganizowania odbioru zrzutów.

Jego decyzja nie znalazła początkowo uznania w oczach Kamińskiego. Zrzuty? Tu gdzie tylu Niemców? O parę kilometrów od „granicy" Warthegau? To — twierdził — musieli znowu wymyślić ci zasr... oficerowie! Rzecz śmieszna, ale gdy tak mówił, jednocześnie przybierał odruchowo postawę na baczność, zaś jego pożółkłe palce zdawały się szukać szwu na spodniach. Kamiński nie był człowiekiem starym, dochodził zaledwie czterdziestki. Mimo to w jego zajadłym wracaniu do sprawy oficerów było coś ze starczej zaciętości. Słowa: porucznik, major, pułkownik urażały go jak nadepnięty odcisk. A już słowo rotmistrz przyprawiało go o wściekłość. „To pewno jakiś rotmistrz wymyślił mówił z pogardą i ze złością. Taki co to ubrany jak lalka. Bu ty od Niedzińskiego, białe rękawiczki..." Mrużył oczy. Może widział wtedy przed sobą jednego z tych swoich znienawidzonych rotmistrzów.

Ale potem Kamiński zmienił zdanie. Uznał, że to wcale nieźle, że oni będą odbierali zrzuty. „Niemcy nocą nie wyścibiają nosa z domu, więc trudności nie będzie..." Natomiast wybuchnął gniewem, dowiedziawszy się, że do odbioru mają przyjeżdżać oficerowie ze sztabu. „Właśnie! Potrzebni jak dziura w moście! Nie obeszło by się bez nich, bez ich gadania, komenderowania, wtrącania się... Pewno to jakiś rotmistrz wymyślił!"

Po dwu tygodniach Franciszek zameldował pułkownikowi, że na podległym mu obszarze znajdują się trzy punkty odbioru, gotowe w każdej chwili do podjęcia czynności.

Jakiś czas potem nadeszła wiadomość, że rzut odbędzie się następnej nocy. Natychmiast postawił ludzi na nogi. Miejsce, które było tu wybrane na przyjęcie zrzutu, była to polana wśród rzadkiego, porastającego bagno lasu. Uważał je za najlepsze z trzech. Dwudziestu ludzi miało być przy odebraniu zrzutu trzydziestu stanowiło osłonę. Jeszcze raz objechał na rowerze teren, ustalił miejsca dla posterunków, polecił Kamińskiemu czuwanie nad polaną. Sam zamówiwszy bryczkę udał się na stację po zapowiedzianych oficerów z dowództwa. Stacja była duża, Niemcy rozbudowali ją w poważny węzeł przeładunkowy. W miasteczku były zresztą koszary i szpital wojskowy. Po budynku stacyjnym kręciła się straż kolejowa o okrutnych, odpychających twarzach, oraz liczni t.zw. „kałmucy" — żołnierze „własowcy" — ubrani w niemieckie kurtki wojskowe, przemalowane na kolor gryszpanu. Pociąg wtoczył się wolno na stację, naładowany po brzegi jadącymi. Był to wracający z pracy tłum robotników i urzędników, byli tu także liczni szmuglerzy — przeważnie dziewczęta o twarzach szarych ze zmęczenia i oczach połyskujących niezdrowym blaskiem. Szara masa wywalała się z wagonów prędko, lecz czujnie. Ludzie szli, rozglądając się na wszystkie strony. Wystarczyłby jeden krzyk ostrzegawczy, a wszystko rzuciłoby się natychmiast do ucieczki.

Gości z dowództwa nie było trudno rozpoznać w tłumie. Odbijali się od niego swymi eleganckimi płaszczami. Starszy z nich niósł jasnożółtą teczkę ze świńskiej skóry, drugi trzymał w ręku przyciśnięty do piersi mały pakiecik w bibułce. To były znaki. Franciszek podszedł i zapytał:

— Czy może pan doktór Milewski?

— Tak — odpowiedział głosem niskim i dudniącym przybysz z teczką. — My do chorego.. A pan od kogo?

— Od Kowalskich.

— Których?

— Z ulicy Prostej.

— Stimmt! — zaśmiał się ten drugi. Był młody. Miał cienkie, starannie wyregulowane wąsy. Spod płaszcza z futrzanym kołnierzem wyglądały nowe, błyszczące buty z cholewami.

— Panowie pozwolą do bryczki.

Gdy szli ku niej zapytał młodszy:

— Pan jest od księcia?

Franciszka zaskoczyło to pytanie.

— Jestem dowódca oddziału „Birże".

— Ah, więc to pan jest księciem! — wykrzyknął przybysz w wysokich butach i z pewnego rodzaju atencją szurgnął nogą. Spojrzeli obaj na Franciszka wzrokiem ciekawym. Wsiadłszy do bryczki, zaczeli go przekonywać, że powinien usiąść na tylnym siedzeniu. Franciszek odmówił stanowczo:

— Proszę panów — powiedział, — to panowie są przecież gośćmi...

W końcu skończyli z ceregielami i można było ruszyć. Bryczka podskakiwała na „kocichłbach". Jedne, drugi zakręt — i znaleźli się za właściwym miasteczkiem, które ciągnęło się dalej tylko rzadką linią brzydkich domków. Przedwiosenny dzień już się kończył, blade słońce zdawało się rozwiewać w powietrzu. Od nabrzeżnych łęgów wiało ostrą wilgotną wonią.

Początkowo nic nie mówili. Milczenie musiało drażnić zwłaszcza młodszego z gości, który kręcił się niecierpliwie na ławce. W pewnej chwili podniósł znaczący wzrok na furmana, a potem pytająco spojrzał na Franciszka.

— Można mówić — książę odpowiedział na jego nieme pytanie, — to jeden z naszych żołnierzy.

— Świetnie — zawołał oficer. Sięgnął do kieszeni, wydobył pudełko papierosów. Chwilę zdawał się zastanawiać kogo powinien poczęstować pierwszego. Po krótkim wahaniu podsunął pudełko towarzyszowi.

— Pan major pozwoli?

— Dziękuję.

— Książę pozwoli?

— Nie, dziękuję. Nie mam w tej chwili ochoty.

— Bardzo dobre papierosy. Okazja... — Jeszcze raz potrząsnął pudełkiem. Potem włożył jeden papieros w usta. Chciał schować pudełko, ale przypomniał sobie furmana. Wyjął papierosa, trącił powożącego wierzchem dłoni w plecy.

— Palicie pewno. Co? Zapalcie.

Trzeba było zatrzymać bryczkę, aby wszyscy mogli zapalić. Mrok zapadał coraz gęstszy. Franciszek rozglądał się frasobliwie po polach: wilgoć wisiała w powietrzu, tu i ówdzie ukazywały się kładki mgły. To, sądził mogło utrudnić odbiór zrzutu.

— Książę wiezie nas do swego pałacu? — zapytał gość w wysokich butach Franciszkowi wydawało się to pytanie zabawne.

— Zajedziecie panowie do mnie. Może zechcecie odpocząć. Przed dziesiątą nie ma po co wychodzić.

— Wszystko przygotowane?

— Myślę, że wszystko.

Teraz począł pytać major:

— Ilu ludzi dał książę na obstawę?

— Trzydziestu.

— Trochę mało. Chyba, że są dobrze uzbrojeni.

— Broń ma każdy.

— Żeby nie było wsypy. — Chrząknął. Chwilę milczał, potem podjął: — W razie jakieś potrzeby mamy następujące alibi: pan porucznik — wskazał oficera w wysokich butach — jest przedstawicielem firmy prowadzącej handel nieruchomościami. Ja jestem nabywcą. A książe chce sprzedać swój pałac — w porządku? Może nawet będzie dobrze, abym zaraz po przybyciu dał księciu jakąś zaliczkę, zaś książę wystawi mi pokwitowanie. W chwili wyjazdu zlikwiduje się oczywiście tę fikcyjną tranzakcję. A propos: może jednak książę ma naprawdę coś do sprzedania? Interesują mnie domy, stare srebra, dobre obrazy...

— Raczej nie — powiedział trochę zaskoczony Franciszek. Tego co mówił major słuchał zresztą jednym tylko uchem. Martwiło go wciąż, że na tle lasu wisiała biała smuga mgły.

W końcu zajechali przed dom. Franciszek wprowadził gości do saloniku na dole sam poszedł w głąb mieszkania, polecić, aby podano kolację. Kiedy wrócił do przybyłych, znalazł ich obchodzących w koło pokój z minami wyrażającymi zainteresowanie Zacierali ręce gestem zadowolenia, przyglądali się obrazkom na ścianie.

— To bardzo ładny portrecik — powiedział major, pokazując na ścianie miniaturę. — Ktoś z rodziny?

— Tak. To moja babka.

— Rzecz bardzo udana przymrużył oczy, przechylił głowę, — bardzo, bardzo. Te miniaturki mają teraz niezłą cenę.

— Ludzie kupują jak nigdy — stwierdził porucznik w wysokich butach.

— Naprawdę?

— Pewnie, że kupują — śmiał się młody oficer. — Ostatnia chwila, by zrobić dobry interes. Front pęknie lada dzień, wojna się skończy, przyjdą nasi, będzie zmiana pieniędzy i takie różne historie. Wtedy tylko złoto, dobry obraz, ładne mebelki. Prawda? — Trzasnął obcasami jakby oczekiwał, że zadźwięczą szenkle ostróg. Wygładził brycesy i z wyrazem nieukrywanego zadowolenia popatrzył na swoje proste nogi w błyszczących cholewkach.

Franciszek gestem zaprosił gości do stolika, na którym stała taca z butelką i kieliszkami.

— Napiją się panowie? Pan major?

— Z największą chęcią.

Dawniej nie cierpiał tego typu ludzi i może lepiej, niż to okazywał, rozumiał Kamińskiego. Kiedyś doszło nawet do zatargu między Franciszkiem a jakimś pułkownikiem artylerii. Wynikła kłótnia przy kartach. W związku z nią powiedział Franciszkowi wuj Konstanty na jakimś zjeździe familijnym: „Dziwię się, mój kochany Franc, że w ogóle zwracasz uwagę na takiego pułkownika. Jesteś postacią historyczną i możesz sobie dmuchać na cały świat, a świat, mimo to, będzie musiał ciebie uznać. Tego także wymaga solidarność historycznie urodzonych..." Wuj Konstanty odwoływał się do solidarności historycznej urodzonych zawsze, gdy potrzebował pożyczki na zapłatę nie wiadomo skąd się biorących długów. Potem przyszła wojna i Franciszek pojął, że nikomu nie wolno żyć poza światem, a do tamtych lat czuł taką niechęć, iż nawet starał się być obiektywny w stosunku do dawnych antypatyj.

Rozpiąwszy marynarkę, młodszy z gości mignął bajecznie kolorowym swetrem. Wziął karafkę z ręki księcia. Przytknął starannie wypielęgnowanym paznokciem w kryształ, na którym był wyrżnięty monogram.

— Król Stanisław August był bocznym kuzynem księcia? Prawda? Bo on nie miał, zdaje się, dzieci...

— Tak — Franciszek rzucił niedbale. Ale przypomniawszy sobie o swoich postanowieniach, z całą dokładnością przedstawił oficerowi skomplikowaną linię genealogiczną. Tamten słuchał z uwagą, jakby chciał słowa księcia zapamiętać.

(Dalszy ciąg w następnym numerze).

Jerzy Artemski

Wędrówki po scenach polskich

SONNE BRUCHOWIE

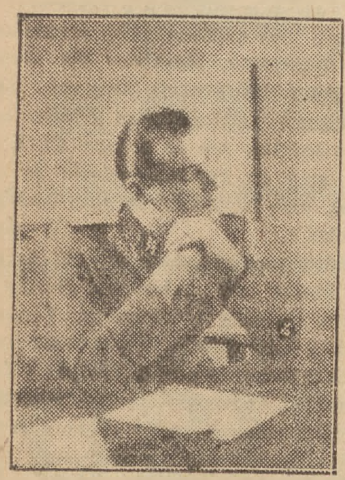

Jerzy Duszyński jako Willi Sonnebruch.

Grupę Niemców oglądanych na scenie teatru Współczesnego trzeba ustawić do naszego przeglądu w jakimś przemyślanym porządku.

Oto Liesel, wdowa po starszym synu prof. Sonnebrucha. Nie wiemy, jaką była przed śmiercią męża, który zginął na froncie. Tragiczne przeżycie wykorzystane umiejętnie przez propagandę hitlerowską, wypełniło jej serce nienawiścią do wrogów „Herrenvolku". Nienawiść ta nie ma żadnych hamulców, nie waha się przed niczym, nawet przed perfidnym zadenuncjowaniem siostry męża.

Obok Liesel stoi Willi Sonnebruch, w Hitlerjugend, przygotowany do pełnionego obecnie zawodu gestapowca. Psychika ograniczona, sposób myślenia, mówienia i postępowania nie wychodzi poza znaną ogólnie w krajach okupowanych sztampę. Scena z panią Soerensen jest najlepszym wykładnikiem tej sztampy. Pyszałkowaty w sytuacji pewnej, głupkowatym śmiechem tuszuje chwile, dla których znajomość regulaminu nie podsuwa natychmiastowego rozwiązania. Chlubi się miłością do matki: dziwna to miłość, która pozwala na rabunek dokonany z chęci sprawienia przyjemności ukochanej osobie, na zbrodnie.

Należy przypuszczać, że razem z nimi stanęłaby Berta Sonnebruch, matka Willi'ego. Powiedział do niej w pewnym momencie mąż: „Nie mów ze mną (cytuję z pamięci) zdaniami, które czytam w gazetach". Ot, i cała charakterystyka pani domu. Zaślepiona. Uparta. Głośnik domowy goebbelsowskiej propagandy.

Pominąwszy epizodyczną postać Schultza (nie zdziwiłbym się, gdyby to było pierwsze wcielenie radcy Benneckego z epilogu), można powiedzieć, iż na zdjęciach wyżej pokazanych oglądamy prawe skrzydło bohaterów sztuki, grupę tych Niemców, którzy maszerowali z dumnymi minami po ulicach Warszawy, Paryża czy Pragi. Znamy ich bardzo dobrze. To są ci, kórym słowo „Niemiec" harmonizuje w brzmieniu ze słowem „zbrodniarz".

Centrum naszej grupy podzielić trzeba na dwie części: nieświadome i świadome.

Ruth Sonnebruch jest Niemką, którą stać zarówno na kibicowanie w ponurej czynności wieszania francuskich zakładników, jak i na uratowanie życia zbiegowi z obozu koncentracyjnego. Prawa dyktuje sobie sama. Ma nawet własną moralność. Żyje, jak sama twierdzi, pełnią życia, ale nie dostrzega najważniejszych tego życia wydarzeń. Pewność siebie uzyskuje z przekonania, iż nikomu nie czyni bezpośredniej krzywdy.

Tuż obok Ruth, mimo dużych różnic struktury psychicznej, postawić należy interesującą postać Hoppego. Jest to człowiek w przybliżeniu przy pominający nam tzw. „dobrego Niemca". Do wojny zbytnio się nie pali. Tęskni za domem, za rodziną. Portfel ma na pewno wypchany fotografiami dzieci, które by przy każdej okazji z chęcią pokazał Jurysiowi. Nie ma ochoty zabić żydowskiego dziecka, które ma akurat tyle lat, co i jego Heini. Częstuje ofiarę jabłkiem. Ba, gdyby tak Schultz nie pilnował, puściłby zapewne chłopca wolno. Cóż., sytuacja wygląda jednak tak, że musi strzelić mu z tyłu w kark, chociaż kocha dzieci i właśnie dlatego, że bardzo kocha (własne) dzieci. Koniec wojny, opieka prof. Sonnebrucha pozwala mu zostać znowu przyzwoitym człowiekiem. Wzdrygnie się tylko zawsze, ilekroć ktoś poczęstuje któreś z jego dzieci jabłkiem. Czas jednak uspokoi tę przykrą dolegliwość.

Lata okupacji poznały nas z wieloma Niemcami tego typu. Spotkać ich można było w różnych urzędach. Owszem, bywali nawet w żandarmerii. Nigdy nie byłeś ich pewien. Nigdy nie było wiadomo, kiedy jabłko zamieni się w śmierć niosący pocisk.

Pierwszoplanową postacią jest prof. Sonnebruch. Rola, jaką otrzymuje on w epilogu sztuki każe nam baczniej przyjrzeć się tej sylwetce. Od pierwszej sceny zyskuje Sonnebruch sympatię widowni. Jest wrogiem reżimu Hitlera. Uczony światowej sławy, zrywa wszelkie kontakty z kolegami i przyjaciółmi zagranicznymi, bo, jak sam powiada „wstydziłby się spojrzeć im w oczy". Nie chce pić koniaku francuskiego, przypuszczając, że pochodzi on z rabunku. Cierpi nad „karierą" syna, żałuje, że zgodził się na urządzenie własnego jubileuszu w takich właśnie warunkach. Zdaje sobie sprawę z tego, jakimi powinni być Niemcy. Zdawało by się więc, że nic mu zarzucić nie można. Dopiero rozmowa z Petersem wyjaśnia prawdę. Prof. Sonnebruch nie walczy z tym, co potępia. Zamyka się wraz ze swoimi poglądami we względnej ciszy mieszkania, odgradza się od świata, jedyną reakcją na dostrzegane zbrodnie jest pięknoduchowski gest oburzenia wypowiedziany w gronie najbliższych. Brakuje mu sił, by zaprotestować przeciw zbrodni, którą na jego oczach chce popełnić rodzony syn. Nie potrafi się zdobyć na odważną obronę przyjaciela i gotów jest zgodzić się, by wydano go na śmierć.

Założenie prof. Sonnebrucha jest proste: przetrwać. Przeczekać „czasy pogardy" i wystąpić z wielkim oskarżeniem niedawnej przeszłości. Kto ma pokonać Hitlera, kto ma wywieść Niemcy z upodlenia — na te pytania prof. Sonnebruch nie ma odpowiedzi, po prostu nigdy ich nie usiłował postawić przed sobą. Rozmowa z Petersem otwiera mu oczy. W duszy następuje przełom. W roku 1948 widzimy Sonnebrucha w walce o nowe Niemcy.

Za rzesze Sonnebruchów nieugiętą walkę z faszystowskim terrorem prowadzi bez przerwy Joachim Peters, postać ustawiona w sztuce na lewym skrzydle, zarysowana dość symbolicznie. Mimo trzyletniej kaźni w obozie koncentracyjnym nie rezygnuje z oporu. Uciekłszy z obozu, nie szuka bezpiecznego schronienia, lecz warunków do dalszej walki. Nie widzimy go w epilogu sztuki. Od końca września 1943 r. do końca wojny było jeszcze dość dużo okazji, by tysiące Petersów okupiło swą postawę śmiercią. Ale rolę swą spełnił. Uczeń stał się profesorem. Peters wskazał Sonnebruchowi drogę do odrodzenia Niemiec, drogę, na której Niemcy mogą stać się ludźmi.

Umiejętne zróżnicowanie tego wachlarza postaci zamierzył Kruczkowski w ambitnym celu dokonania przekroju społeczeństwa niemieckiego z lat 1939 — 45. W epilogu rozstają się definitywnie ojciec z synem: jeden w lewo, drugi w prawo, jeden wraca do ideologii hitleryzmu, drugi przechodzi na drogę przebudowy społecznej, na drogę walki o pokój.

Jacy są Niemcy?... Odpowiedź Kruczkowskiego jest mglista: i tacy jak Willi Sonnebruch, i tacy jak jego ojciec. I tu trzeba sformułować wreszcie zasadniczy wniosek wynikły z analizy sztuki: błąd jej kardynalny tkwi w tytule. Wydaje się, iż niemiecki tłumacz miał rację, opatrując przekład tytułem „Die Sonnebruch". Sonnebruchowie. Rodzina Sonnebruch. O sztuce można powiedzieć wiele uwag. Że jest dramatem psychologicznym rodziny, że (już z pewnym, zbyt dalekim uogólnieniem), analizuje pewną grupę społeczną narodu niemieckiego. Nie można jednak doszukiwać się w niej syntezy takiej, jaką narzuca tytuł. Bałbym się bardzo twierdzić, że takie były wszystkie, a przynajmniej większość rodzin niemieckich.

Prawda. Trzeba wziąć pod uwagę także i to, że złączenie całego wachlarza typów jednym nazwiskiem wynikło ze względów formalnych — tak już jest w teatrze, wymagającym wielu koncesji ze strony autora — tym niemniej tutaj sprawa ta zaciążyła poważnie i kto wie zresztą, czy nie pomogła autorowi. Nawet pod różnymi nazwiskami nie mogliby bohaterowie sztuki pretendować do tytułu reprezentantów. Brakuje między nimi wielu postaci dość zasadniczych. Poza tym próba syntezy zobowiązuje autora do wskazania na rzecz tak istotną na przykład, jak stosunek sił między grupami reprezentującymi poszczególne postawy. Tego Kruczkowski nie pokazał na scenie i pokazać nie był w stanie. Doskonała pod każdym względem robota Kruczkowskiego zachwiana została tytułem zbyt ambitnym, tytułem, który wywołać może wiele nieporozumień na widowni.

Sztuka, mimo tego błędu, spełnia niezmiernie ważną rolę. Wskazuje ona widzowi polskiemu głęboką prawdę: prof. Sonnebruch podjął walkę. Musimy uwierzyć w to, że przełom ten jest szczery i trwały.

***

Erwin Axer, reżyser sztuki, pracę miał trudną i odpowiedzialną. Trzeba było zachować w pełni realistyczną koncepcję autora, a z drugiej strony uniknąć wszystkiego co by było sprzeczne z poczuciem umiaru. Najważniejszym chyba środkiem prowadzącym do tego celu, było uzyskanie dużej dyskrecji głosu i gestu w kreacjach aktorskich. Przemyślane odstępstwa od tej reguły (np. końcowa scena Drapińskiej) dały prawem kontrastu duży efekt i podkreśliły naturalność akcji.

Kalejdoskopowa podróż po Europie w akcie I należy do najlepszych osiągnięć naszego teatru po wojnie. Ciekawe, ale usprawiedliwione psychologicznie jest to, że świetnie wypadły właśnie te sceny, w których Niemcy stykają się z ludnością krajów okupowanych.

Duża obsada aktorska uniemożliwia dłuższe omówienie. Stanisław Daczyński z roli prof. Sonnebrucha wydobył wszystkie akcenty, niezbędne do zrozumienia tej postaci. Wstrząsający przełom wewnętrzny pokazany został dyskretnie, a przecież wyraźnie, z głęboką prawdą. Maria Gorczyńska nie czuła się zbyt dobrze w roli Berty. Danuta Szaflarska raz jeszcze zasłużyła sobie na wysokie pochwały. Ze znakomitą precyzją i swobodą odtworzyła ona postać Ruth, której charakterystykę podaliśmy wyżej. Nieco gorzej radził sobie Jerzy Duszyński, bardzo dobry w Norwegii, nieprzekonywujący w Getyndze. Halina Kossobudzka umiejętnie podkreśliła drapieżność i nienawiść, stanowiące sens życia Liesel. Janusz Jaroń (Peters) może nieco z winy autora zbyt patetyczny. Doskonale wypadli w swoich epizodach Konstanty Pągowski (Hoppe), a zwłaszcza panie: Irena Horecka (Pani Soerensen), Zofia Mrozowska (Fanchette) i Barbara Drapińska (Marika).

Jerzy Artemski

Z. L.

Niemcy o „Niemcach"

Sztuka Kruczkowskiego wywołała w Republice Niemieckiej zrozumiałe poruszenie. Prapremiera w „Deutsches Theater" była jednym z największych wydarzeń kulturalnych stolicy narodu niemieckiego w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Wszystkie niemal pisma poświęciły temu wydarzeniu wiele miejsca. Oceny są niemal wyłącznie entuzjastyczne, recenzje jednogłośnie podkreślają wartości dramatu, zasługę autora, któremu dzielnie sekundował reżyser i aktorzy. Oto fragmenty jednego z wielu omówień (wyjęte z artykułu Gustawa Leuteritza, opublikowane w „Tägliche Rundschau", z dn. 30.10 1949, w nr. 255 (1366) pt. „Der Weg durch den Abgrund".)

„W sztuce polskiego dramaturga, zdumiewa historyczny, obiektywny i jasny osąd postępowania Niemców w czasie wojny, osąd, którego nie zafałszowały żadne subiektywne uprzedzenia. Pisarz narodu, napadniętego zdradziecko przed dziesięcioma laty, potrafił sytuację z roku 1943 przedstawić obiektywniej, niż czynili to sami dramaturgowie niemieccy, którzy w gruncie rzeczy nie potrafili wyjść poza wątpliwą heroizację winy*). Prawdopodobnie dramaturgom niemieckim brak ciągle jeszcze koniecznego dystansu wobec tamtych wstrząsających przeżyć. Kruczkowski natomiast obnażył korzenie wszelkiego zła, zdemaskował bezwzględnie braki zdecydowania w walce z tym złem, ukazując bolesną, ale zbawienną prawdę, wezwał Niemców do leczenia ich schorzeń narodowych. W sztuce jego nie ma nienawiści i wściekłości, chociaż zrozumiałe byłoby to u człowieka, który patrzył na śmierć milionów swoich rodaków i sam przez sześć lat cierpiał niedolę faszystowską. Kruczkowski postępuje jak chirurg: wycina ze świadomości narodu niemieckiego wrzód faszystowskiej pychy i mieszczańskiego mętniactwa ideologicznego. U niektórych widzów musiało to wywołać nie najprzyjemniejsze uczucia. Ale pisarz polski dzięki temu dostarczył narodowi niemieckiemu ważne i niezbędne elementy do podjęcia zdrowej samokrytyki.

Kruczkowski potrafił wskazać wyraźną różnicę między wewnętrzną emigracją, idealizmem i biernym protestem prof. Sonnebrucha z jednej strony, a bojową postawą antyfaszysty Petra, asystenta profesora, który na próżno — jako uciekinier z obozu koncentracyjnego — oczekuje od niego pomocy, z drugiej Kruczkowski w żadnym wypadku nie generalizuje, nie upraszcza spraw niemieckich. Widzi uczciwego w gruncie rzeczy, a tylko ze strachu ulegającego presji systemu hitlerowskiego ojca rodziny, Hoppego, woźnego z laboratorium Sonnebrucha. Widzi córkę profesora, Ruth, która pomaga Petrowi w ucieczce nie ze względów politycznych, ale dlatego, że to interesująca dla niej przygoda, którą chce przeżyć w imię jakichś ideałów, a za którą płacić musi śmiercią w Rawensbrück. Widzi wreszcie pisarz cyniczną bestię, SS-owca Willego, który (nie cierpiąc nawet pyłka kurzu na mundurze) jest hańbiącą plamą na honorze rodziny, roztkliwia się w swojej sentymentalnej miłości ku matce, co mu nie przeszkadza oszukiwać innej matki zamordowanego bojownika norweskiego.

Reżyseria Martua Hellberga zapewniła sztuce w najmniejszych nawet szczegółach doskonałe opracowanie. Dwie ostatnie sceny mogły, co prawda, wypaść bardziej dynamicznie. Paul Bildt**) jako prof. Sonnebruch, stworzył dojrzałe studium charakterystyczne, w którym dokładnie wystąpiły rysy tego typu Niemców. Niezupełnie przekonywająco wypadła Gerda Müller jako Berta, co tłumaczy się może tym, że jest to jedyna niezbyt jasna postać dramatu. Urszula Burg i Werner Peters jako córka i syn Sonnebruchów — porywająco realistyczni. Wolfgong Langhoft jako uciekinier z obozu robił wielkie wrażenie jakby cień z jakiegoś innego świata. W ogóle, gra wszystkich aktorów — doskonała. Nawet małe rólki były świetnie opracowane. Na uwagę zasługują zwłaszcza Hoppe Hansa Stiebnecka, i Werner Pledath jako oficer Wehrmachtu. Wrażenie całości było bardzo głębokie in ieprzemijające. Publiczność oglądała sztukę niezwykle poruszona".

*) Autor artykułu wskazuje tu na sztukę Zuckmeyera „Des Teufels General" i Schäfera „Die Verschwönnig", które cechuje mało obiektywny stosunek do tematyki historycznej.

**) Laureat nagrody narodowej w roku 1949 (przyp. red.).

Czytelnik niemiecki uważa że...

Publicystyka niemiecka

Siedzę tu w moim pokoju w Nadrenii, a na dworze zima. Na moim biurku stosy pism i broszur. Wszystko to przeczytałem. Wszystko, nie tylko dział ogłoszeń. To różni mnie od wielu czytelników.

Piękne artykuły można znaleźć w tych pismach i broszurach, pełne dźwięcznych okresów i uroczo brzmiących słów. Artykuły są dzięki temu jak muzyka. Jak symfonia. Tak samo długie. Nawet te najkrótsze. Oto gra jakiś mały flet i słychać: „Pokój". Klarnet zapełnia go tonami pełnymi namaszczenia: „Ale nie mamy go, nie mamy". Włącza się kontrabas i buczy: „Bo źli Rosjanie go nie chcą, nie chcą". Kilka innych instrumentów gra jakieś sonaty o radach gospodarczych, a między nimi — menueta z Bonn. Naturalnie, to wszystko razem kupy się nie trzyma. Nie można do symfonii włączać sonat i menuetów. Wszystko się kłóci. Powstaje jakaś symfonia jazzowa.

W marcu ubiegłego (tzn. 1948) roku redaktor naczelny tego pisma (tzn. „Ost und West") w swoim artykule pt. „Pomyślmy o Nadrenii i Zagłębiu Ruhry" pytał: Co się tam dzieje z publicystyką niemiecką. Oto tu jest teraz, wisi na każdym kiosku z gazetami. Można ją nabyć w cenie od 10 fenigów do 10 marek. W miesiąc po ukazaniu się pisma — za połowę ceny. Oto wisi tu wokoło. Publicystyka. Można ją kupić. Nie tylko można ale kupuje się. Dlaczego. Ponieważ zaspakaja głód.

Zadałem sobie trud wykorzystania swoich wiadomości psychologicznych, aby sprawdzić na przykładzie 20-tu pism po co je ludzie kupują. Z tych 20-tu pism — 17 umieszcza na stronie tytułowej fotografie mniej lub więcej wiekowej damy. Nazwiska dam — różne, twarze te same: puste laleczki. Wybrakowany towar Holywoodu, mało fatałaszków, dużo ciała. Czternaście pism przynosi ciekawe szlagiery z sypialni Hitlera, Ewy Braun, Goringa i innych panów z tej kliki. Publikuje się takie artykuły o aferach miłosnych dawnych generałów. (To ważne. To musi być. Trzeba narodowi wytłumaczyć, że byli generałowie, też wiedzieli, co to miłość).

Co drugie pismo zawiera jakąś tajemniczą wiadomość. Tajemnica jej pochodzenia znana jest tylko redaktorowi. Najczęściej chodzi o „szpiegostwo komunistyczne", szlachetne kamienie lub piękne damulki. W pierwszym odcinku zawiadamia się, że następny wyświetli wielką tajemnicę. W następnym zaś nie udało się jeszcze ustalić wszystkiego dokładnie, po trzecie zaś pismo, albo robi plajtę i przestaje wychodzić albo przynosi wiadomość, która jest jeszcze bardziej tajemnicza.

Osiemnaście pism ma swoich korespondentów specjalnych w Waszyngtonie, Moskwie, Rio de Jeneiro. Uczyłem się kiedyś w szkole dziennikarskiej że tylko ten dziennikarz ma prawo nazywać się specjalnym wysłannikiem pisma, który na specjalne zlecenie swojego organu prasowego dla zbadania specjalnego zajścia został specjalnie wysłany. Czy każde z tych pisemek ma tak dużo pieniędzy, aby wysyłać własnych korespondentów do Waszyngtonu i Moskwy?

Szesnaście pism prowadzi dział humoru (To nie jest dział polityczny). Czterem pozostałym już odechciało się śmiać. Jak praktyka wykazuje, w krótkim czasie zrobią plajtę. Każde z tych czterech pism ma po trzech niezależnych redaktorów. Po trzech tygodniach połączą się dwójkami, aby znowu wydawać własne pismo.

W ośmiu pismach z tamtych szesnastu dział humoru pojawia się pod nagłówkiem: „Z tego śmieje się zagranica". Tym ośmiu pismom także powodzi się nie najlepiej. Pozostałe przynoszą humor niemiecki. Jednak ja wolę już tamte z nagłówkiem o zagranicy.

Gdzie jest publicystyka niemiecka. W księgarniach. Możliwie. Nie wiem. Książka kosztuje około 30 marek. Nie zarabiam tyle. Możliwe, że drukuje się dobre książki. Ale co z tego. Ci, których stać na kupienie książki za 30 marek wolą wypić za tą cenę butelkę koniaku.

Można posmutnieć. I w tym kraju żyli kiedyś tacy ludzie jak Goethe i Fichte, Osietzky i Tucholsky, Tomasz Mann i Bert Brecht. To smutne

Jak z pewnych źródeł dowiaduję się, personel urzędniczy przedsiębiorstw ubezpieczeniowych został zasilony dawnymi dziennikarzami i pisarzami. Ich miejsce zajęli w redakcjach dawni urzędnicy przedsiębiorstw ubezpieczeniowych. Piszą tam smutny bilans. Ale dobrze znają się na swoim rzemiośle. Tak zachwalają swoje brudne akcje, że każdy prawie każdy daje się nabrać. Wyć się chce z rozpaczy. Publicystyka nie żyje. Niech żyją pisma.

H. Losecaat von Nouhuys
Geisenheim — Rheingau
(strefa zachodnia)

...Zeszyty „Ost und West", które był Pan łaskaw przysłać, otrzymałem na krótko przed swoim wyjazdem. Czytałem je przez dwie noce niemal zupełnie wyrzekając się snu. Tak coś w nich pociągało i przykuwało uwagę. Chociaż mi to weźmie pan za złe: czytałem je tak kiedyś jako młody chłopiec czytałem pierwsze zeszyty „Weisse Blatter" Schickela, w których także była mowa o polityce, ale nie tylko o polityce, w których był ów niepisany zapach tej literatury, która zdaje się zaginęła już w Niemczech, a oprócz tego namiętna walka o sprawiedliwość i godność ludzką. Szczególnie poruszyły mnie Pańskie rozprawy i rzeczy Scheera. Nie przesadzę, jeżeli powiem, że dopiero po tej lekturze, po raz pierwszy wiele rzeczy należycie zrozumiałem...

Kazimir Edschmid

Ruhpolding/Obb 28.VIII.49.

Obecna sytuacja literatury niemieckiej

(dok. ze st. 4)

nej Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Utworzenie i rozwój „Związku Kultury dla Demokratycznego Odrodzenia Niemiec" pomyślne pokonanie wielu trudności materialnych i bardzo wielu oporów psychicznych przy propagowaniu i realizowaniu też politycznie i uczuciowo niepopularnych, przeprowadzenie akcji oczyszczenia świata kultury z pozostałości personalnych i organizacyjnych oraz złych nawyków hitleryzmu. To są zdobycze realne, nie mniej niż tysiące książek wydanych w milionach egzemplarzy, niż rozwój sieci bibliotecznej, teatrów amatorskich, czy świetlic przyfabrycznych.

Obserwatorzy życia kulturalnego w zachodnich Niemczech stwierdzają zgodnie, że nie widać tam takiego dynamizmu i energii, z jaką tworzy się zjawiska kulturalne po wschodniej stronie Łaby. Nic w tym dziwnego. Obywatele Niemieckiej Republiki Demokratycznej są na drodze ciągłego przeżywania zmian zachodzących w tej części kraju. W Niemczech zachodnich zmienia się niewiele, wszystko zdaje się raczej przypominać powrót do dawnych, dobrze znanych czasów.

W tej sytuacji różnorodna treść polityczna obu organizmów państwowych, znajdujących się dziś faktycznie na terenie Niemiec i graniczących ze sobą na Łabie powoduje różnorodną treść kulturalną po obu stronach tej granicy.

U podstaw treści literackiej po naszej stronie Łaby leży **realizm** w ocenie, widzeniu i przedstawianiu faktów. Literaturę zachodnich Niemiec obciąża nadal spadek poraziśtowski: skłonność do mitotwórstwa, mętniactwa i ucieczki w dziedzinę estetyzmów i psychologizmów, mających w tym wypadku zastąpić brak rzeczywistych wartości ideowych. Twierdzenie tego rodzaju nie może się oczywiście odnosić generalnie do wszystkich pisarzy żyjących w „Trizonii". Nie miejsce zamieszkania bowiem, często przypadkowe, ale rzetelny wysiłek znalezienia ostatecznych dróg wyjścia z niemieckiego impasu świadczy o odpowiedzialnej postawie człowieka pióra. Jednak przeciętny stan rzeczy upoważnia do takich właśnie wniosków.

Literatura wschodnio - niemiecka stoi pod znakiem fermentu i poszukiwań, które poprzedzają — być może — okres poważnych osiągnięć. Trudność pochłonięcia bogatych treści, które udostępnione zostały Niemcom wraz z przełamaniem wieloletniej izolacji od świata, powoduje ciągłe p r ó b y. Są to więc próby obrachunku z niedawną przeszłością, jak dotychczas przeważnie reportażowe, pamiętnikarskie lub publicystyczne; próby nowego widzenia rzeczywistości i nowej wizji przyszłości Niemiec, jak dotąd niemal wyłącznie publicystyczne. We współczesnej produkcji piśmienniczej uderza w ogóle wysoki procent prozy dokumentarnej, publicystyki i reportażu oraz pamiętnikarstwa. Brak jest natomiast wielkich pozycji epickich i dramatycznych. Rzuca się w oczy stosunkowo niewielka ilość wydawnictw oryginalnych przy dużej ilości przekładów obcych lub nawrotów do klasycznego piśmiennictwa niemieckiego.

Najgłośniejsze pozycje „rewizjonistyczne" w dzisiejszej beletrystyce niemieckiej, to książki Seghers, Bredla czy Erpenbecka, które powstały jeszcze w latach emigracji. Są to więc dzieła pisarzy ukształtowanych ideowo jeszcze w okresie przedhitlerowskim. Pisarze, którzy pełnią dziś funkcje organizatorów niemieckiego życia literackiego — to przeważnie ludzie starzy, a w każdym razie po pięćdziesiątce, których szczytowe sukcesy literackie przypadały na okres Republiki Weimarskiej, a niekiedy nawet na okres wilhelmowski. Neoromantyczna poetka Ricarda Huch, zmarła przed dwoma laty przekroczywszy osiemdziesiątkę, Henryk Mann zbliża się do tego wieku, Bernard Kellermann dochodzi do siedemdziesiątki, nawet jeden z najruchliwszych twórców — Johannes Becher, czy dramaturg Friedrich Wolf, są to ludzie około sześćdziesiątki.

Ustanowione w tym roku po raz pierwszy i nadane w Weimarze w dwóchsetną rocznicę urodzin Goethego „Nagrody Narodowe" przypadły również pisarzom co najmniej sześćdziesięcioletnim (otrzymali je: Heinrich Mann, Johannes R. Becher, Friedrich Wolf, Bernhard Kellermann, Herbert Eulenberg). Istnieją wprawdzie „nagrody młodych", ale nie ma do nich zbyt wielu kandydatów.

Gdzież jest młoda literatura niemiecka, gdzież są pisarze poniżej czterdziestki, a tym bardziej około trzydziestki?

Odpowiadamy: są! Ale jest ich tak mało, że wprost trudno jest mówić o „młodej literaturze".

Bardzo zdolny, trzydziestokilkoletni liryk — Stefan Hermlin, jego rówieśnik — powieściopisarz Eduard Claudius, autor powieści „Sól ziemi" i „Zielone oliwki i nagie góry" odmalowujących sytuację świadomej klasowo młodzieży robotniczej w chwili dojścia Hitlera do władzy, poetka Susanne Kerckhoff, którą zalicza się również do pisarzy najmłodszego pokolenia, mimo, że drukowała swe wiersze już kilkanaście lat temu.

Jakie są przyczyny tego stanu rzeczy?

Dwanaście lat rządów hitlerowskich wywierających silny wpływ na psychikę niedojrzałych jeszcze ideowo w r. 1933 roczników młodzieży niemieckiej spowodowało olbrzymią wyrwę. Kilkanaście roczników w swojej masie poszło z hitleryzmem.

„Faszyzm zniszczył moralność i szlachetne wzruszenia nowego pokolenia — mówił Stefan Hermlin na konferencji pisarzy niemieckich w 1947 r. w czasie dyskusji na temat młodzieży literackiej. — Dlatego też młodzież po większej części ścierpiała, przecierpiała, ale nie walczyła z faszyzmem i wojną, jak w innych krajach. I dziś jeszcze nie może się ona uwolnić od demonicznych wpływów germańskich legend i tęsknot wojennych. W tym też tkwi — zdaniem Hermlina — zupełna jałowość literacka młodego pokolenia, pozbawionego możności odczuwania naturalnego piękna i psychologicznych wzruszeń, choć ucichły wreszcie i szczęk broni pancernych i szum chorągwi, nieodłączne rekwizyty hitlerowskiej wyobraźni, dla której uczucia ludzkie są tylko imitacją życia".

Przyszłość literatury niemieckiej zależy od pozyskania dla sprawy humanizmu i pokoju najmłodszego pokolenia twórców, tych, którzy byli zbyt młodzi w latach rozkwitu hitleryzmu, aby ulec jego trującemu jadowi. Tych, którzy byli dziećmi w czasie zwycięskich podbojów faszystowskiej armii niemieckiej, ale których lata chłopięce kojarzą się ze wspomnieniami klęsk, jakie ściągnął na Niemcy Hitler. Młodzież dziś osiemnasto - dwudziestoletnia żyje pamięcią bombordowań, głodu, ruin, miast, ofiar pośród najbliższych — pamięcią wszystkich okrucieństw wojny bez żadnych jej powabów. Należy jej tylko uprzytomnić jakie siły odpowiedzialne są za ten kataklizm, który nie może się już powtórzyć.

JACEK CICHOCKI.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski.
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; I p. Konto P.K.O. Nr. I-727
Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz poniedziałków i piątków, godz. 12 — 13
Druk. Skolimowska 5.
Wydawca: Kolegium Redakcyjne
Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych
B-31084